Nr. 44 CENA 30 GR. ROK 1

STER

TYGODNIK ŻYDOWSKI
DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA
CHŁODNA 17, TEL. 257-26
skrz. poczt. 113
KONTO P. K. O. Nr. 4.043

Godziny przyjęć: codziennie prócz sobót i niedziel — Redakcji i Administracji 11—14.

Rękopisów nie zwraca się.

Treść numeru:

K. — Wyjazd min. Delbosa
OUTSIDER — Chwilka na dworcu
INŻ. A. GLIZER — Po drugiej stronie
LEOPOLD HALPERN — Sejm, „Koło" i polityka żydowska
J. MAJUS — Na froncie gospodarczym
MAX WERNER — Spiski we Francji
S. P. — Bogowie i ludzie
MAURYCY SZYMEL — Wiersze
RUSTAN — Honory, honoraria, personalia...
B. LEWITÓWNA — Maria Kuncewiczowa
MELANIA WASERMAN — Pod skrzydłami czarnego orła
Wydarzenia i odgłosy — Antena świata — Kino
STER MŁODYCH

12 grudnia 1937 WARSZAWA 8 tewet 5698

Wyjazd min. Delbosa

Porównujmy teksty obydwu toastów ministrów spraw zagranicznych Polski i Francji:

Minister Beck, przemawiając do swego „SZANOWNEGO Kolegi", nazwał jego wizytę „aktem przyjaznej kurtuazji". Minister Delbos, odpowiadając swemu „DROGIEMU Koledze", mówił o Warszawie jako „pierwszym etapie podróży", która jest wszak podróżą polityczną, a nie kurtuazyjną.

Minister Beck mówił o „współpracy między dwoma krajami", a minister Delbos mówił o „sojuszu francusko-polskim, zrodzonym ze wspólnych konieczności i ożywiony tymi samymi ideałami".

Minister Beck mówił nadto o „współpracy bilateralnej", i że „każdy z obu przyjaciół zachowując własne cele i broniąc własnych interesów, patrzy w sposób szczególnie życzliwy na wszystkie sprawy, dotyczące losów przyjaciela". Odpowiedzią na to zdanie o dwustronności, o własnych interesach i (zaledwie!) o życzliwości były słowa min. Delbosa, że „solidarność łącząca Polskę z Francją nie ma charakteru ekskluzywności", i że należy wspólnie działać „w duchu paktu Ligi Narodów w powszechnym wysiłku ku odprężeniu i współpracy, ku powszechnemu uspokojeniu i ku uzgodnieniu wszystkich dążeń pokojowych".

A więc: idea powszechności zamiast idei egoizmu — oto była odpowiedź francuskiego Gościa.

Komunikat PAT'a sprowadza wynik rozmów polsko-francuskich do „przeglądu wszystkich zagadnień w duchu lojalnej współpracy", do ponownego stwierdzenia, że „alians polsko-francuski stanowi istotny i stały czynnik polityki obu krajów", i wreszcie do stwierdzenia „wspólnej woli prowadzenia we wszystkich dziedzinach ufnej współpracy".

Komunikat ten nie może napawać optymizmem. Wiadomo, że alians polsko-francuski nie został przez żadną ze stron wypowiedziany, i że wobec tego stanowi, póki trwa i obowiązuje, „istotny i stały czynnik" w polityce obu państw. Zagadnienie polega zgoła na czymś innym: czy alians ten stanowi PIERWSZORZĘDNY i dominujący czynnik w polityce obydwu krajów, t. zn. czy jest on ważniejszy dla Francji, niż sojusz z Rosją, a dla Polski niż pakt z Niemcami. Oto jest pytanie. Pytanie, które zostawiono bez odpowiedzi.

W komunikacie czytamy o „przeglądzie wszystkich zagadnień". Pięknie, ale jaki był wynik tego przeglądu? I na to pytanie nie znajdziesz odpowiedzi u PAT'a. Bo „wspólna wola prowadzenia ufnej współpracy" to frazes, który można ogłosić także po każdej najbardziej niezgodnej wymianie zdań. Tu nie o dobrą wolę chodzi, bo to rzecz subiektywna i trudna do skontrolowania. Stwierdzić ją można tylko po wynikach. Gdyby wyniki były pozytywne, komunikat PAT'a niewątpliwie brzmiałby mniej więcej tak. Po przeglądzie wszystkich zagadnień stwierdzono całkowitą zgodność poglądów obu rządów na sposób i metody ich rozwiązania... Tego właśnie jednego zdania BRAK w komunikacie PAT'a.

A największą, najdobitniejszą wymowę mają właśnie te proste, szablonowe formułki, kiedy się je umieszcza, a jeszcze bardziej, kiedy się je pomija...

Pisało się na Zachodzie przed przyjazdem min. Delbosa do Warszawy, że podobno zaproponuje w imieniu Francji i Wielkiej Brytanii zawarcie paktu 9-ciu mocarstw, który stanowiłby gwarancję bezpieczeństwa w Europie. Pakt ten zmusiłby Niemcy i Rosję do zasiadania przy wspólnym stole, a z drugiej strony usunąłby tarcia polsko-czeskie, obejmowałby bowiem i Polskę i Małą Ententę. Waga tego projektu ma być tym większa, że wysuwa go nie jedno państwo, lecz skonsolidowany obecnie blok Paryż-Londyn.

Dużo u nas i zagranicą pisano o roszczeniach kolonialnych Rządu Polskiego, o projektowanych nowych kredytach francuskich dla uprzemysłowienia Polski (nowego okręgu przemysłowego). O wszystkich tych sprawach opinia publiczna w Polsce w ogóle nie jest informowana. Nawet marzenia o „zażydzeniu" Madagaskaru skapy ostatnio znajdują wyraz w urzędowych i inspirowanych enuncjacjach. Poprostu eliminuje się społeczeństwo z udziału w polityce zagranicznej. Już za nas POWOŁANI myślą i decydują...

A szkoda. Opinia publiczna w Polsce ma ustalony stosunek i do Francji, i do Niemiec, i do sprawy pokoju, i do całokształtu zagadnień międzynarodowych. Wyczuł to w Warszawie przez zasłonę dyplomatycznej atmosfery min. Delbos, skoro oświadczył dziennikarzom, że „przymierze polsko-francuskie nie tylko jest pisane w aktach, ale tkwi w sercach obu narodów".

Wyczuła to i zagranica. Korespondenci warszawscy pism francuskich zapewniają nie bez uzasadnionej pewności, że Francja bez wahania może polegać na przyjaźni i wierności NARODU polskiego. A „Temps" wyraźnie wymienia socjalistów, demokratów i nacjonalistów polskich, którzy sojusz z Francją uważają za podstawowy warunek pokoju europejskiego. W tym samym duchu piszą Sauerwein w „Paris Soir" i Pertinax w „Echo de Paris".

Gdy się ma samemu ograniczoną możliwość dobrze jest zacytować opinię innych, z którą chętnie się zgadzamy.

Pan B. K. w „Kurierze Warszawskim" pisze:

> *„Trzeba przyznać, że przyjęcie urzędowe, zgotwoane w naszej stolicy ministrowi francuskiemu, było tym razem bardzo ciepłe i że zatem ono znacznie lepiej, niż w dobie wizyt p. Barthou oraz p. Lavala, harmonizowało z uczuciami i pragnieniami olbrzymiej większości narodu polskiego. Teraz idzie o to, aby polityka realna odpowiadała dokładnie polityce okolicznościowej, personalnej i bankietowej.*
>
> *Polityka realna wymagałaby stałego, ścisłego i zupełnego porozumienia Polski i Francji we wszystkich tych sprawach, które się wiążą z kwestiami wzajemnego obu krajów bezpieczeństwa, równowagi europejskiej i pokoju. Polska może się inaczej, niż Francja, zapatrywać, dajmy na to, na sprawę Litwy, a Francja, inaczej niż Polska, na tę lub tamtą sprawę kolonialną. Niewątpliwie istnieją we wszystkich sojuszach pewne dziedziny, pozostawione po za obrębem przymierza i rozstrzygane bez zasięgania opinii alianta. Jednakże nie sądzimy, żeby w dzisiejszym stanie rzeczy w Europie one mogły być rozległe. Przeciwnie. Tak się dziś wszystko poplątało w świecie, że prawie nie ma kwestii międzynarodowej, któraby nie zahaczała o ogólny problemat pokoju. Dlatego nie wierzymy w skuteczność polityki pro-pokojowej, pragnącej maximum „wolnej ręki". My sobie, a wy sobie — są to złudzenia polityków, nie umiejących doceniać współzależności wypadków, tudzież grożących pokojowi niebezpieczeństw. Pozbywa się, ich, tych złudzeń, nawet najpotężniejsze na świecie państwo, mogące sobie niegdyś pozwalać na „wspaniałe odosobnienie."*
>
> *Zacieśnienie przymierza polsko-francuskiego musiałoby się wyrazić w postępie utożsamiania poglądów i czynów, dotyczących zachowania fundamentów równowagi europejskiej. Tu całe sedno sprawy. Nie należy zaś mniemać, w uniesieniu zbytniej pokory, że w takim rozwoju rzeczy Polsce przypadłaby rola jedynie d'un brillant second. Mając bezwarunkowo wyższe (i realniejsze) wyobrażenia o roli Polski w Europie, jesteśmy przekonani, że cały gmach równowagi europejskiej uległby groźnemu zachwianiu, gdyby Polska nie potrafiła, z własnej winy czy z winy krótkowzroczności aliantów, utrzymać ścisłego kontaktu politycznego z Zachodem."*

Okno na świat

CHWILKA NA DWORCU

Ciężko sapiąc, puszczając przed sobą kłęby dymu wtoczył się na Oberschlesisches Bahnhof w Berlinie pospieszny pociąg. Było to dnia 3 grudnia o godzinie 8.45 rano. Na dworcu zebrało się kilku wyższych urzędników niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych na czele z Reichsausenministrem Freiherr von Neurath. Cóż to o tak wczesnej porze sprowadziło Freiherra von Neuratha na dworzec? Nie było przecież na dworcu ministra spraw zagranicznych Rzeszy, gdy przed kilku laty tą samą drogą jechał Laval, gdy tą samą drogą jechał Barthou... Teraz gdy minister spraw zagranicznych Francji frontu ludowego, Francji przeklętej i wyklętej demokracji: Yvon Delbos udaje się w podróż do stolic państw Europy Centralnej i Polski, uważał rząd Rzeszy za wskazane pominąć wszelkiego rodzaju przyjęte kanony protokółu dyplomatycznego i powitać Delbosa na dworcu...

Zatem w pociągu pospiesznym z Paryża do Warszawy znajdował się w towarzystwie kilku urzędników francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych i nielicznych dziennikarzy nikt inny, tylko minister Yvon Delbos. Nie wiemy, jak spędził drogę przedstawiciel Francji frontu ludowego. Być może rozmawiał w nocy z przyjaciołmi dziennikarzami, być może spędził przyjemnie czas w restauracyjnym wagonie, być może przeglądał wycinki z prasy i układał plany.

A może przyglądając się przez zamglone szybki wagonów migocącym ognikom po obu stronach toru rozmyślał nad swą podróżą i porównywał ją do podróży Barthou i Lavala. Inne były czasy, inni ludzie, Francja nieco inna. Mógł Delbos z uzasadnioną dumą stwierdzić, że dawno już nie miała Francja tak s i l n e g o i s p o i s t e g o rządu jak w ostatnim roku.

Rząd francuski oparł się na większości, która potrafiła ostatnio zmiażdżyć swego przeciwnika. De la Rocque, urzędnik ministerstwa spraw wewnętrznych, wydziału społeczno politycznego został zdemaskowany przez swych bardziej konsekwentnych, chwilowych sojuszników z prawa. Rząd nie omieszkał skompromitować drugiej strony, Tardieu'go i Pozzo i Borgo, ujawniając aferę Cagoulardów. Być może, że to właśnie De La Rocque wydał w ręce policji nici spisku, chcąc zemścić się na swych oskarżycielach. Prawica francuska ujawniła bądź co bądź niesłychane bagno moralne, Minister Delbos jest reprezentantem rządu znacznie silniejszego, aniżeli jego poprzednicy.

A sytuacja międzynarodowa Francji? Laval i Barthou udali się w podróż dyplomatyczną w okresie, gdy Francja nie była jeszcze tak silnie związana sojuszem odnowionym z Anglią, gdy więzy jej ze Stanami Zjednoczonymi nie były tak wzmocnione, jak po ostatnich manifestacjach, gdy jej sojusz wreszcie z Sowietami i Małą Antantą nie miał tak określonych form. Stąd możliwości radykalnej zmiany kursu wskutek podróży są minimalne: raczej chodzi o wzmocnienie pewnych więzów, o zbadanie nastrojów i możliwości dalszego ugruntowania raz wytkniętej polityki.

Minister Delbos nie jedzie więc już tylko jako reprezentant interesów i poglądów na politykę międzynarodową Francji, ale udaje się w podróż jako rzecznik poglądów uzgodnionych w Londynie z ministrami Wielkiej Brytanii. Cóż go czeka w drodze, cóż go czeka w Warszawie?

Być może minister Delbos przeglądał prasę francuską i wzrok jego padł na numer „Populaire'a" z dnia 2 grudnia 1937 roku podpisany przez Jana Longueť a.

> „Podróż Delbosa do Europy Centralnej i Wschodniej a szczególnie do Polski odbywa się w szczególnie dogodnych warunkach. Może świetnie przysłużyć się sprawie pokoju i sprawie Francji — nigdy nie były one ze sobą tak związane, jak w czasach ostatnich — jeśli nasz minister spraw zagranicznych potrafi patrzeć ponad wąski horyzont, w jakim zamykają się nasi dyplomaci, jeśli zechce spotkać się z wiernymi przyjaciółmi, jakich ma nasz kraj w każdym narodzie, przyjaciółmi, z którymi nasi ludzie kariery zapatrzeni w swe zajęcia światowe i stosunki arystokratyczne nie mają czasu zawierać kontaktu."

Po nader ciekawej próbie analizy sytuacji wewnętrznej w Polsce kończy Jan Longuet swe wywody następującymi słowy:

> „Pan Delbos nie powinien bez wątpienia mieszać się do spraw wewnętrznych Polski. Ale obowiązkiem jego jest bronić tam interesów Francji oraz interesów pokoju. Ma możność dodania odwagi naszym przyjaciołom, wyjaśnić im, że nasz kraj potrafi rozróżnić między tymi, którzy pozostali wierni odwiecznej tradycji przyjaźni między naszymi krajami i tymi, co są przyjaciółmi naszych nieprzyjaciół.
>
> Przypadek chce, że to są również wrogowie wolności i demokracji Tak samo zresztą będzie i w Belgradzie i w Bukareszcie. Nie mówię o Pradze, gdzie minister Delbos spotka zarówno w większości narodu, jako też w kołach rządzących ludzi wiernych demokracji i przyjaciół naszego kraju."

GORĄCY TALERZ...

Nie znamy, rzecz jasna, myśli tajnych pana ministra Yvona Delbosa, gdy w pociągu Paryż—Warszawa udawał się w drogę. Nie wiemy, jakie miał nadzieje, jakie plany, czego sobie obiecywał po swej bytności w Warszawie. Nie chcielibyśmy sądzić o nastrojach paryskich podług bukietu wycinków podawanego prasie przez PATA. Wiemy, że redaktor oficjalnej agencji dobiera do swego bukietu kwiaty, jakie mu odpowiadają...

Wiemy już natomiast w chwili, gdy piszemy te słowa, jaki był nastrój w Warszawie podczas i po podróży Delbosa. Świetnie określił ten nastrój publicysta „Dziennika Ludowego" jednym zdaniem: „zimna zupa na gorącym talerzu."

W potoku gromkich słów nie dało się ukryć zgrzytów aż nazbyt częstych, odgłosów nieporozumień, różnic różnego podejścia do spraw pokoju i do spraw wojny. Już w toastach można było wyłowić owo starcie szpad na płaszczyźnie koncepcji zbiorowego bezpieczeństwa i bilateralnych umów.

Prasa niemiecka, po wyjeździe Delbosa oceniła tak wyniki jego bytności w kraju:

> „W sprawozdaniach korespondentów z Warszawy podkreśla się tu, jako moment główny rozmów, stwierdzenie, że sojusz francusko-polski pozostaje i nadal podstawą polityki zagranicznej polskiej, że życzenie Polski przyciągnięcia jej do przyszłych obrad nad paktem zachodnim zostało przez Francję częściowo uwzględnione (z tym, że Polska będzie o obradach tych tylko stale informowana), że również i żądania kolonialne Polski zostały wysłuchane (lecz narazie nie uwzględnione).
>
> Natomiast w cytowanych tu głosach prasy francuskiej przytacza się głównie momenty negatywne rozmów, a mian., że wymiana zdań w Warszawie uwydatniła, iż między Polską a Francją istnieją zasadnicze różnice poglądów na metody polityczne wogóle. Polska wypowiada się za systemem umów dwustronnych i dystansuje się wyraźnie od Ligi Narodów w przeciwieństwie do zalecanej i utrzymywanej przez Francję kolektywizacji i współpracy państw w ramach Ligi Narodów.
>
> Przeciwieństwa uwydatniły się według prasy niemieckiej również w ustosunkowaniu się Polski do Czechosłowacii. Polska nie zdradza bynajmniej skłonności do złagodzenia naprężenia stosunków z Czechosłowacją. Podobnie i wobec Rosji Polska zdradza wyraźną niechęć do współpracy z Sowietami.
>
> Jednym słowem, Niemcy doszukują się w rozmowach warszawskich raczej tylko momentów negatywnych. Jako jedyny pozytywny wynik wizyty francuskiej w Warszawie, uważa się tu tylko zawarcie ugody kulturalnej.
>
> W korespondencjach z Paryża twierdzi się, że zadaniem Delbosa było przywrócenie jednolitego frontu sojuszników Francji — jak pisze „Frankfurter Zeitung". Cel ten nie został jednak osiągnięty, brak bowiem porozumienia między Polską i Czechosłowacją wytwarza lukę w tym froncie sojuszniczym. Nie udało się Delbosowi luki tej wypełnić. Francuskie i polskie zapatrywania zasadnicze na ogólną politykę pozostają i po wizycie Delbosa w dalszym od siebie zróżniczkowaniu — pisze dalej wspomniany dziennik — co oznacza poważne osłabienie się francuskiego systemu i jego prewencyjnej siły. Wobec tego Francja nie przykłada nadmiernych oczekiwań do wyników podróży Delbosa.
>
> Również i Niemcy nie oczekują żeby wizyta ta przyniosła jakieś specjalne efekty dla polityki Francji i Polski, co wyraża się tu nie bez cichej tajonej satysfakcji.
>
> Wizyta francuska w Warszawie — zdaniem Niemiec — nie przyniosła żadnych momentów zwrotnych w polityce zagranicznej Polski, w szczególności jeśli chodzi o stosunek Polski do Niemiec.

Taka ocena wyniku wizyty w oświetleniu dobrze poinformowanego korespondenta berlińskiego „Kuriera Warszawskiego" znalazła potwierdzenie w końcowym akordzie wizyty polskiej ministra Delbosa.

Po odczytaniu wspólnej deklaracji, minister Delbos zwrócił się w Krakowie do ministra Becka z prośbą o powiedzenie paru słów do zebranych w wagonie dziennikarzy francuskich i polskich. Cóż powiedział minister Beck?

> „iż miał już liczne okazje stykania się z min. Delbosem. Nigdy jednak obaj ministrowie nie mogli wspólnie rozpatrzyć wszystkich kwestii tak szczegółowo, jak tym razem. **Atmosfera genewska jest tak absorbująca, iż nie ułatwia głębszego omówienia spraw, które bezpośrednio interesują Francję i Polskę.**
>
> (Podkreślenia moje)

Proszę uważnie przeczytać raz jeszcze to stwierdzenie, iż atmosfera genewska nie ułatwia głębszego omówienia spraw w pojęciu pana ministra Józefa Becka, by następnie zrozumieć odpowiedź ministra Delbosa:

> „To, co mój kolega i przyjaciel min. Beck powiedział, **właściwie ułatwia i utrudnia jednocześnie moje zadanie, gdyż w słowach jego mieści się wszystko.** Nie pozostaje mi więc nic innego, jak stwierdzić, że wszystkie zagadnienia, dotyczące pokoju, zostały przez nas **rozpatrzone** w duchu najbardziej przyjaznym. Min. Beck zaznaczył, że spotykaliśmy się już nieraz. Rzeczywiście, spotykaliśmy się **nie tylko** w Genewie, ale w Paryżu i w Londynie podczas uroczystości koronacyjnych. Nie mieliśmy jednak nigdy możności — jak to słusznie min. Beck zaznaczył — okazji do tak wszechstronnego rozpatrzenia zagadnień naszych stosunków, jak dziś."
>
> (Podkreślenia moje)

Jak na pożegnalne przemówienia, zbyt jasno została w tych słowach zawarta różnica poglądów.

(dokończenie na str. 8)

WYDARZENIA I ODGŁOSY

Rząd, parlament i społeczeństwo

Replikując z tybuny sejmowej generałowi *Żeligowskiemu*, p. premier gen. *Składkowski* wypowiedział myśl, która tym razem znajdzie szczery poklask wśród przygniatającej większości społeczeństwa:

„Mam wrażenie, że mogę już marzyć o tym, że być może, uda mi się oddać władzę w ręce, które będą miały za sobą większość w parlamencie i większość w społeczeństwie. A wtedy, kiedy mi się to uda, zobaczycie mnie wesołego i uspokojonego, przechadzającego się na Krakowskim Przedmieściu z rumieńcem na licach, z melonikiem na bakier, wesoło nucącego Pierwszą Brygadę."

Trudno trafniej sformułować istotne warunki zdrowego systemu rządzenia nowoczesnym państwem, niż uczynił to Pan Premier: rząd, mający za sobą większość w społeczeństwie. Trudno też było w sposób dobitniejszy, choć tylko pośredni, wskazać na istotę obecnej anomalii politycznej w kraju, na brak współpracy pomiędzy społeczeństwem, parlamentem i rządem.

Pan Premier jest z zawodu lekarzem, a dobry lekarz po postawieniu diagnozy winien szukać środków terapii. Diagnoza premiera dra *Składkowskiego* była nad wyraz trafna — o drogach terapii dotąd jeszcze nie wspomniał.

Dlatego wolelibyśmy raczej odrzucić interpretację słów Pana Premiera w sensie gestu, poczynionego tylko w stronę sąsiadującej z sejmem, ul. Matejki. Generał *Składkowski* jest zbyt dobrym obywatelem, by zgodził się na beztroski spacer w melonіku, tylko dlatego, że na ul. Wiejskiej zorganizuje się Koło Ozonu i, że mąż zaufania tego Koła stanie na czele rządu — minister *Składkowski* zna zbyt dobrze swój resort, by mógł choć chwilę się łudzić, że ma to cośkolwiek wspólnego z prawdziwą większością w parlamencie i w społeczeństwie.

Droga do przywrócenia harmonii pomiędzy społeczeństwem, parlamentem i rządem jest przecież tylko jedna: *demokratyczne wybory*, które umożliwią większości społeczeństwa zdobycie większości w parlamencie — *demokratyczny parlamentaryzm*, którego istotą będzie odpowiedzialność rządu przed większością parlamentu. Czy jednak p. premier dr *Składkowski* zdecyduje się na wypisanie takiej recepty?

„Wykonałem i odchodzę"

Nuta ukrytej tęsknoty za odejściem od steru władzy, za oddaniem go w ręce tych, którzy mają za sobą społeczeństwo — ta nuta co tak szczerze zabrzmiała w przemówieniu Pana Premiera, była zarazem „leitmotivem" równie żołniersko-szczerych wynurzeń innej czołowej osobistości obozu rządowego, zdobywcy Wilna, generała broni *Lucjana Żeligowskiego*. Powtórzmy sobie i dobrze zapamiętajmy te słowa, które poseł-generał wypowiedział z trybuny sejmowej:

„Zaczęło się w lipcu zeszłego roku od okólnika pana premiera, który stwierdził, że drugą osobą w Państwie jest Marszałek Śmigły-Rydz.

Konstytucja przewiduje inną gradację: Prezydent, Rząd, parlament, wojsko.

Jakaż zaszła konieczność, aby ten stan rzeczy zmienić?

Rozumiem, że są momenty w dziejach, gdy zachodzą takie okoliczności że konieczność jako prawo historii zmusza nas do wydawania specjalnych zarządzeń dla dobra kraju koniecznych. Konieczność ta staje się prawem.

Jakież jednak zaszły nadzwyczajne okoliczności, które spowodowały wydanie okólnika p. Premiera?

Okólnik był wydany w słowach jaknajwiększego uznania, które my wszyscy czujemy, a więc czyż mamy walczyć z tym okólnikiem? Jeżeli jednak w szeregach najwyższych czynników w państwie odstępuje się od zasad Konstytucji, to cóż mamy mieć świętego. To co się obecnie stało na terenie Sejmu, powstanie OZNu jest dalszym ciągiem odstępywania od ram konstytucyjnych.

Na terenie świata dzieją się wielkie przemiany. Niemcy czy Włosi tworzą nowy ustrój totalistyczny — stają się silni. Nas to nęci, nie mówimy jednak tego otwarcie. Lecz czyż jest to nasza droga?

Nie. Naród polski jest więcej wart, aby być pod rządami totalnymi. To zresztą już było, mieliśmy totalizm magnaterii, szlachty, totalizm państw zaborczych i często naszej administracji. Potrzeba nam prawa, musimy obudzić naszych obywateli. Konstytucja daje nam właśnie tę możność. Na cóż jeszcze mamy szukać dróg niezgodnych z prawem i duchem narodu? Taka polityka jest wysoce fałszywa. W takich pociągnięciach, jak okólnik p. Premiera i fakt powstania OZN na terenie Sejmu, dają się wyczuć odgłosy, że grupa ta chce mieć wpływy nadal na politykę Państwa i to wbrew Konstytucji.

Obóz Legionowy, który ma olbrzymie zasługi dla Państwa, lecz który odejdzie, stanie się opozycją, tam się skonsoliduje i wtenczas odegra wielką rolę w życiu Państwa, tym bardziej, że ma praktykę rządzenia.

Trzeba sobie wczas powiedzieć: — „Wykonałem i odchodzę".

Gdy się będziemy zastanawiali czegośmy przez ostatnie 11 lat nie zrobili, czegośmy nie przewidzieli — co nas najwięcej teraz boli, to musimy stwierdzić, że dotychczasowe rządy straciły obecnie zaufanie społeczeństwa. Dlaczego? Dlaczego panuje obecnie atmosfera niepewności, która daje się powszechnie odczuwać? Stało się tak dlatego, że warstwy rządzące składające się z dobrych Polaków, z ludzi uczciwych i wielkich patriotów wchłonęły w siebie czynniki ujemne, różnych karierowiczów, ludzi, nie mających z ideą dobra państwowego nic wspólnego.

W ciągu ostatnich lat nie doceniliśmy zagadnienia sprawy ludowej. Tragedią, ruchu ludowego było zawsze to, że nie miał on dobrych przywódców. Obecnie to się zmieniło.

Na czele ruchu ludowego znaleźli się właściwi ludzie i należałoby im ułatwić pracę na tym terenie, gdyż w tym tkwi przyszła moc Polski.

Szczęściem jest fakt, że lud nasz jest zdrowy moralnie i posiada instynkt państwowy. Mieszkam wśród tego ludu, w dzielnicy położonej najbliżej Wschodu i stwierdzam, że nie ma tam komunizmu. Sądzę, że tym bardziej w innych dzielnicach nie ma go również."

A więc pamiętajmy: żołnierz, który oddał Państwu historyczne zasługi, osobistość czołowa obozu dziś rządzącego, generał broni *Lucjan Żeligowski* powiedział: 1) Nie należy w żadnym wypadku odstępować od zasad obowiązującej Konstytucji. 2) „Naród polski jest więcej wart, aby być pod rządami totalnymi. 3) Trzeba sobie wczas powiedzieć: „Wykonałem i odchodzę". 4) „...warstwy rządzące ...wchłonęły w siebie czynniki ujemne, różnych karierowiczów". 5) „Na czele ruchu ludowego znaleźli się właściwi ludzie i należałoby im ułatwić pracę na tym terenie, gdyż w tym tkwi przyszła moc Polski". 6) Nie jest prawdą, że wśród ludu istnieje komunizm.

Znowu notujemy wspaniałą diagnozę, której istotna wartość okaże się jednak tylko wtedy, jeśli zastosuje się równie dobrą terapię.

Głos b. Prezydenta Wojciechowskiego

W „Nowej Prawdzie" ukazał się artykuł b. Prezydenta Rzeczypospolitej Stanisława Wojciechowskiego p. n. „Potrzeby i wola mas". W artykule tym m. inn. czytamy:

„Powracam do słów Mickiewicza: „Należy formy rządu i prawa stosować do potrzeb i woli mas, bo te potrzeby i ta wola nie w jednej głowie, nie w jednym wylęgły się sercu, ale są wypadkiem pracy i życia wieków i pokoleń".

Mamy za sobą już nieco własnego doświadczenia: 7 lat sejmowładztwa i 11 lat rządów piłsudczyków różnego autoramentu. Krótkie te epizody w życiu narodu, ale dostatecznie długie dla zorientowania się, kiedy naród czuł się szczęśliwym, kiedy było mniej buntów i nieprawności."

„Suwerenność narodu wyraziła się w ustroju parlamentarnym. Jest on nam tym bardziej potrzebny, ponieważ po długoletniej niewoli pozostała skłonność do konspiracji i gwałtu, jako metod rządzenia. Wśród inteligencji jest jeszcze wiele wichrowatych głów, nie uznających żadnego autorytetu poza własnym rozumem. Naród, usamodzielniający się w ustroju parlamentarnym, przestaje być podatnym materiałem dla eksperymentów różnego rodzaju rewolucjonistów.

Obiektywny sąd historii wyjaśni, dlaczego sprowadzono nas z drogi, wytkniętej w pierwszych latach niepodległości. Odtąd datuje się obecny rozgardiasz i próby pójścia w ślady najmniej zasługujące na naśladownictwo. Wcześniej czy później trzeba będzie nawrócić do ustroju parlamentarnego, ponieważ w ciągu wieków tylko on okazał się trwałym i zapewnia narodowi najwięcej spokoju i szczęścia. Uczy tego historia narodów, które dawno porzuciły system autokratyczny dla systemu parlamentarnego i obstają przy nim szczęśliwi."

„Jako prezydent najsilniej odczuwałem braki naszego młodego parlamentaryzmu, mimo to pozostałem jego zwolennikiem, tym bardziej teraz, kiedy prezydent ma prawo rozwiązywać parlament i sprawdzić, czy powstająca w parlamencie nowa większość istotnie wyraża wolę większości narodu. Dwie trzecie naszego narodu stanowią chłopi, którzy byli i będą głównym źródłem zdrowia i siły Rzeczypospolitej. Patrioci obawiający się parlamentaryzmu mogą im zaufać."

„Jeden z największych ludzi w Polsce"

Po tych szczerym smutkiem i głęboką troską, przesiąkniętych uwagach — należy się czytelnikowi na odmianę coś weselszego, aby z naszej winy życie nie wydawało mu się bardziej tragiczne, niż jest naprawdę.

Mowa o jednym z największych ludzi w Polsce. A któż to taki? Napewno sami nie zgadniecie, bo właśnie chodzi o pewnego pana *Piaseckiego Bolesława*. Bóg z nim, z tym p. *Bolesławem*, ale kto go na żarty, czy na serio kreował jednym z największych ludzi w Polsce? A właśnie nie byle kto, bo sam p. *Rutkowski*, persona ważna, bo zajmująca stanowisko „Führera" Związku Młodej Polski. A „Falanga" też twierdzi tak samo albo jeszcze więcej: p. *Piasecki* nie jest tylko jednym z największych, ale właśnie największym człowiekiem w Polsce. Posłuchajmy co o nim pisze oenerowska *„Falanga"*:

„...W środku spokojna, wyniosła postać Wodza...

Odkrywają się głowy(!); otwarte dłonie nad głowami i spontaniczne, ogromne, jedyne słowo: „Wódz".

„Kiedy Piasecki mówi „ja", to brzmi to tak niesłychanie naturalnie, tak oczywiście, że nikt nie może wobec tego stwierdzenia pozostać obojętny, każdy musi się podporządkować, albo nienawidzieć. Nie ma innego stosunku do Piaseckiego, jak tylko te dwa".

Na te liryczno-patetyczne wywody pisane stylem małomiasteczkowego pół - inteligenta i złą polszczyzną, odpowiada pepesowski *„Dziennik Ludowy"*:

„Jest jeszcze trzeci stosunek do „Wodza" — można po prostu z niego się śmiać. Śmiać się z operetkowych wyczynów małego „führera", śmiać się z nieudolnie wzorowanych na imprezach faszystowskich, wyczynów naszych rodzimych faszyziątek.

Wykpiwać megalomanię skretyniałych führerków, którym uderzyły do głowy nieartykułowane wrzaski kilkuset niedowarzonych studentów z „ruchu". Traktować humorystycznie „narodowców", którzy w swoim organie produkują takie próbki polszczyzny, jak wyżej wymienione „odkrywające się głowy i otwarte dłonie nad głowami.

I to jest właściwe podejście do sprawy."

Oczywiście. Ale p. *Rutkowski* z młodego Ozonu ma z gruntu inne podejście do sprawy, skoro na zwołanej przez siebie, konferencji prasowej, musiał złożyć aż tak wyraźny ukłon w stronę p. *Bolesława*. I nie dziwota! Przecież p *Rutkowski* sam wyszedł z „Falangi", jest więc uczniem i wychowankiem „jednego z największych ludzi w Polsce". Młody Ozon, jak stwierdził jego „gauleiter", łączą też przyjazne, koleżeńskie stosunki z organizacją „jednego z największych".

Przed Kongresem Krajowym U.N.D.O.

C. K. *Ukraińskiego Nacjonalno Demokratycznego Obiednania* uchwalił zwołać Kongres Krajowy stronnictwa na koniec grudnia b. r. powołano też komisję dla przygotowania politycznych rezolucji i uzgodnienia sprawy wyboru nowych władz UNDO, przy czym weszli do niej przedstawiciele obu zwalczających się kierunków, a więc rzecznicy t. zw. „normalizacji" z wicemarszałkiem obecnego sejmu *Wasylem Mudrym* na czele i opozycja z b. posłem dr. *Dmytrem Lewickim*.

Po dwóch i pół latach t. zw. normalizacji, t. j. próby ugody UNDO — a z rządem — kwestia ukraińska nie tylko nie wkroczyła na drogę powolnego bodaj rozwiązywania, ale, dzięki antyukraińskiej akcji pewnych kół społeczeństwa polskiego, uległa dalszemu zaostrzeniu się. W tych warunkach stale wzrasta niezadowolenie szerokich sfer społeczeństwa ukraińskiego z oportunistycznej, ich zdaniem, taktyki obecnego kierownictwa UNDO, a równolegle do tego w łonie stronnictwa rozgrywa się walka dwóch kierunków. O walce tej pisze z dużą otwartością *„Dilo"*.

„Nie odkrywamy Ameryki, gdy uznajemy, że stosunki w UNDO od jakiegoś czasu nie były takie, jak być powinny. Rozwój wydarzeń politycznych w ciągu ostatnich 2 i pół lat musiał wstrząsnąć partią i wywołać w niej takie rozbieżności, jakie się zaznaczyły i w całym naszym społeczeństwie. UNDO bowiem zawsze było i jest obecnie raczej ruchem narodowym, niż partią w ścisłym tego słowa znaczeniu"...

„Diło" stwierdza, bez ogródek, istnienie wewnętrznej opozycji w U. N. D. O. Komitet Centralny na swym ostatnim posiedzeniu postanowił:

„Szukać możliwości wyrównania już istniejącej pomiędzy członkami partii różnicy zapatrywań na najbardziej istotne sprawy polityczne".

„Pragniemy wierzyć, że powołanej do życia Komisji (przedkongresowej — Red.) uda się: 1) wyrównać różnice tych poglądów, które już od dłuższego czasu wyraźnie dzieliły partię na dwa obozy, 2) przeprowadzić takie zmiany, które pozwolą przyciągnąć do partii szersze koła, stojące dziś na uboczu, 3) uczynić partię zdolną do roli autorytatywnego czynnika, który mógłby przeprowadzić najważniejsze dziś zadanie — konsolidację wszystkich w ogóle zorganizowanych grup i obozów ukraińskich."

Słowem: analogie w stosunkach narodowościowych są zupełnie wyraźne. My wskazywaliśmy na nie jeszcze dwa i pół roku temu, zalecając zwolennikom ugodowego kursu w kierownictwie UNDO zapoznanie się z dziejami polityki żydowskiej w Polsce, a zwłaszcza z kolejami złudnej „ugody". Dziś Ukraińcy przeżywają okres rozwiewania się ugodowych iluzji i odradzania się niezależnej polityki narodowej bardzo podobny do tego, przez który przeszło ostatnio społeczeństwo żydowskie *L. H.*

Inż. A. Glizer

PO DRUGIEJ STRONIE

(Korespondencja własna „Steru" z Palestyny)

Procesy, toczące się przed sądami palestyńskimi, dają nieraz możność wniknięcia w charakterystyczne cechy arabskiego terroryzmu. Posiadamy pewne pojęcie o elementach, które w tym terrorze uczestniczą. Fakty, ujawniane na procesach, dorzucają ciekawe szczegóły do ogólnego obrazu. Oto skazany przez pierwszy sąd wojskowy szeich Forhan as-Saadi. Starszy już człowiek, *derwisz*. Przed wojną zajmował się rolnictwem w swej wsi rodzinnej, potem handlem. Przez pewien czas był policjantem. Gdy sędziwy Szeich Al-Kasam utworzył swą „narodowo-religijną" organizację terrorystyczną z programem wymordowania wszystkich (!) niewiernych (Żydów i Anglików), szeich Farhan, należący do tegoż zakonu derwiszów i z tejże okolicy pochodzący, stał się jego prawą ręką. Żydowski sierżant policji Rozenfeld, zamordowany w r. 1935 na górze Gilboa, padł prawdopodobnie z ręki Farhana. Policji udało się wówczas wytropić bandę Al-Kasama. W bitwie z policją padł Al-Kasam i kilku towarzyszy jego zostało zabitych lub rannych. Farhanowi udało się z drugą częścią bandy uciec. Schronił się on do Hedżasu, lecz stamtąd został po pewnym czasie przez Ibn-Sauda wygnany, prawdopodobnie za udział w spiskach. Wrócił do Palestyny i przystąpił oczywiście natychmiast do terrorystów, stając na czele silnej bandy, która do ostatnich czasów wodziła rej w okręgu Dżenin.

Nie mniej charakterystyczne od osoby Farhana są okoliczności jego uwięzienia. Na pytanie, kto zabił tego szeicha, należałoby odpowiedzieć: „kongres w Baludan". Organizatorzy tego kongresu, działający z ramienia Muftiego, rozdzielali zaproszenia szczodrą ręką wśród „zasłużonych" i niezasłużonych, lecz jednego przestrzegali skrupulatnie: dopuszczanie na kongres wyłącznie „murowanych" zwolenników Muftiego. Wielu „dostojników" okręgu Dżenin i Nablus, w którym istnieją tendencje pronazszibowskie, zostało pominiętych. Nie trudno sobie wyobrazić oburzenia obrażonych wielkości wioskowych i miasteczkowych. Posypał się grad depesz protestacyjnych, z których żadna oczywiście nie ujrzała światła dziennego w jakimkolwiek dzienniku arabskim.

Tym niemniej bunt przeciw Muftiemu nie mógł ujść płazem. Kilka dni po konferencji baludańskiej, został zamordowany Al-Burkawi, bogacz dżeniński, któremu i aktywny udział w bandach w ciągu całego okresu rozruchów 1936 r. nie pomógł w obliczu depesz, które wysłał. Cały okręg zawrzał, aż wreszcie w bieżącym miesiącu zamordowano na odmianę stronnika Husseinich nazwiskiem Al-Abuszi, także z wielkiego rodu (krewny burmistrza Dżenin), skądinąd również czynnego w bandach: podstępem wywabiono go ze wsi i zabito. Teraz znów, gdy ustąpił strach przed terrorystami pod wpływem akcji rządu, „udało się" policji dowiedzieć o pobycie Szeicha Farhana w tejże wsi i ująć go. Wśród broni, znalezionej przy nim, był i rewolwer Al-Abusziego.

Fanatyzm religijny Farhana czy Al-Kasama, gra, na wszystko gotowych, ambicyj partyj, rodów i „osobistości" — to jedna strona obrazu. A teraz drugi proces: pewien Arab został oskarżony o zamordowanie niejakiego Abu-Kaliba. Uniewinniono go, ponieważ okazało się, że działał w obronie własnej. Abu-Kalib napadł mianowicie z uzbrojoną bandą terrorystów na dom jego. Któż to był ten Abu-Kalib? Sądy palestyńskie znały go dobrze: przed 5 laty zamordowano pewnego kolonistę żydowskiego w Balfurii. Padł u progu swego domu z rąk złodzieja prawdopodobnie. Aresztowano Abu-Kaliba, o którym własny ojciec zeznał, że chadzał do Balfurii nocami na kradzieże i że tego dnia wrócił z próżnymi rękami. Były i inne przyczyny do podejrzewania go o tę zbrodnię. Z braku wyraźnych dowodów sąd go jednak zwolnił.

W 1934 r. znów nasz bohater trafił do sądu. Tym razem jako świadek. Szło znów o mord: pewien kolonista żydowski w Afule został zamordowany w stodole uderzeniem pałki. Abu-Kalib wystąpił jako świadek koronny przeciw dwum Arabom, oskarżonym o ten mord. W trakcie procesu okazało się, że wszyscy trzej poszli razem kraść, właściwym zaś sprawcą był chyba sam świadek. Oskarżeni zostali uwolnieni, „świadek" zaś skorzystał z przywilejów świadka koronnego.

Od kradzieży, połączonej od czasu do czasu mordowaniem Żydów, nie tak widocznie daleko do terrorystów. Dla Abu-Kaliba by.o to w gruncie rzeczy tylko odwróceniem porządku: w miejsce kradzieży z okolicznościowymi mordami — mordy z okolicznościowymi kradzieżami. Ale co ma wisieć, nie utonie, powiada przysłowie i jedna eskapada źle się skończyła.

Rozmaite są elementy w arabskim aparacie terrorystycznym: są mordercy bogobojni, są patriotyczni, są i zwyczajni... Trzeba się temu trochę przyjrzeć, aby nie oburzenie, lecz współczucie ogarnęło człowieka, czytającego w oficjalnym organie „jedynych prawdziwych syjonistów", ukazującym się w Pradze: „młodzież arabska wskazuje, jak powinien reagować normalny naród". Jeśli dopuszczenie do głosu wszystkich elementów fanatyzmu religijnego, ksenofobii, awanturniczości, żądzy krwi i rabunku ma cechować „normalny" patriotyzm, to już lepiej być nienormalnym patriotą i postępować tak, jak postępuje zorganizowana społeczność żydowska w Palestynie.

Aktywność terrorystów arabskich w Palestynie jest nie tylko politycznie, organizacyjnie i finansowo związana ze wzmożoną aktywnością państw „dynamicznych" przeciwko demokratycznym w różnych częściach świata, a zwłaszcza na Morzu Śródziemnym. Istnieje także pokrewieństwo duchowe między arabskim ruchem nacjonalistycznym a tymi wszystkimi ruchami, które w imię patriotyzmu, narodu, imperium romanum czy rasy aryjskiej dały upust każdemu z tych instynktów, które wieki kultury „żydo-masońskiej" — jak się teraz mówi, — starały się stłumić. Nie tylko Żydzi w Polsce, Niemczech czy Brazylii stoją po jednej określonej stronie barykady, która przecina teraz świat: Żydzi w Palestynie stoją po tej samej na swoim — nie mniej ważnym — odcinku. Stoją i stać będą.

Tel-Aviv, 5.XII.37.

LEOPOLD HALPERN

Sejm, „Koło" i polityka żydowska

1) Sejm z września 1935 r. nie posiada własnego oblicza: twórcy jego odebrali mu charakter polityczno - partyjno - parlamentarny, ale nie potrafili, wbrew zamierzeniom i wysiłkom, nadać własnemu tworowi oblicza regionalno - monopartyjno - indywidualistycznego. 2) Sejm z września 1935 r. nie ma powszechnie wymaganego poziomu parlamentarnego. 3) Sejm z września 1935 r. nie cieszy się zaufaniem całego społeczeństwa.

Ogromna większość społeczeństwa polskiego i mniejszości narodowych odrazu zdała sobie sprawę, że takie tylko może być dziecię ordynacji wyborczej i dlatego w wiadomy sposób zachowała się owego 8 września 1935 r. Mniejszość społeczeństwa, która mimo wszystko, z takich czy innych względów poszła do urny wyborczej, w ciągu dwulecia istnienia obecnego sejmu miała dosyć sposobności i powodów do podzielenia krytycznej opinii większości. Jeśliby zaś ktoś jeszcze miał pod tym względem jakiekolwiek wątpliwości, to proszę, niechaj zechce łaskawie zajrzeć do sprawozdania z drugiego posiedzenia plenarnego obecnej sesji zwyczajnej, na którym miała się odbyć generalna debata budżetowa, a znajdzie już potwierdzenie trzech, we wstępie sformułowanych, zarzutów:

Ad 1) P. marszałek Car zagaił dyskusję oświadczeniem (jak informują sprawozdawcy parlamentarni: wypowiedzianym z pewnym zakłopotaniem), że do głosu zapisało się aż 26 mówców (w jakim parlamencie, zorganizowanym w kluby poselskie, przemawia w generalnej debacie tylu mówców?), ponieważ zaś nie wie na jakiej podstawie ma ustalić kolejność mówców, prosi ich, by sami się co do tego porozumieli. Bardzo pięknie i bardzo liberalnie — ale co z tego wynikło? Pierwszy przemówił pos. *Świdziński* i złożył w imieniu nowozałożonego „Koła" Ozonu typową deklarację solidarnego klubu parlamentarnego, w której znaleźć można było i sformułowanie stosunku do rządu i zapowiedzi ustosunkowania się do budżetu w komisji, pewne, choć ogólnikowo ujęte, credo polityczne. Ledwo jednak p. prezes „Koła" Ozonu zeszedł z trybuny, a już jeden po drugim poczęli na nią wchodzić członkowie jego klubu, by przemawiać w swoim imieniu i zajmować w zasadniczych sprawach zasadniczo różne stanowiska. W ślad za nimi poczęli dopiero dawać upust swym oratorskim skłonnościom posłowie w ogóle nie zorganizowani (nie, przepraszamy: zorganizowani „regionalnie"!), a po nich rozległy się znowu typowe przemówienia przedstawicieli klubów parlamentarnych, wygłoszone przez prezesów obu mniejszościowych grup poselskich, w. marszałka *Mudrego* i dra *Sommersteina*. Pytamy się więc: polityczno - partyjny parlament, czy też monopartyjno-indywidualistyczna reprezentacja regionalistyczna? Albo może ani jedno, ani drugie, tylko właśnie utracenie dawnego oblicza, a brak oblicza nowego?

Ad 2) Trzeci z kolei zabrał głos *w debacie budżetowej* poseł *Hermanowicz*, wygłaszając, wśród huraganu śmiechu całej izby „wzniosłe" i pełne prowincjonalnego patosu, przemówienie, w którym.. ostrzegał młodzież przed szkodliwością alkoholu! A przecież w ciągu dwulecia tego sejmu nie jeden *Hermanowicz* nie jeden raz „przemawiał" w podobny sposób i w podobnych okolicznościach.

Ad 3) Poseł *Hanebach*, zdaje się lewicowy piłsudczyk, w swym silnym „Jacusse!" pod adresem „sanacji" w fazie ozonowej, wypowiedział jedno szczególnie słuszne zdanie: „Nie mamy zaufania do społeczeństwa, więc społeczeństwo odpłaca nam także brakiem zaufania".

Brak oblicza. Brak poziomu. Brak zaufania.

*

W publicystyce żydowskiej znaleźliśmy ostatnio bardzo surową, ale nie mniej słuszną opinię o tym obecnym sejmie. Sejm ten nie reprezentuje społeczeństwa, bo pozbawiono je możliwości swobodnego wysuwania i wybierania kandydatów na posłów. Nie ma już dziś nikogo, któryby nie zdawał sobie z tego sprawy, a najlepiej o tym wiedzą członkowie obecnego sejmu (cytujemy z pamięci, a więc nie dosłownie — myśl jednak oddajemy wiernie).

Któż był autorem tych złotych myśli? Chyba jeden z żydowskich publicystów opozycyjnych, chyba rzecznik tych stronnictw żydowskich, które wierne zasadzie niezależności polityki żydowskiej, nie starały się o przepuszczenie swych kandydatów przez sito „zgromadzeń okręgowych" i nie poszły do urny wyborczej owego 8 września? Skądże znowu! Tak pisze w grudniu 1937 r. żydowski poseł do obecnego sejmu, który jeszcze we wrześniu 1935 r. czynił co tylko mógł, aby skłonić wyborców żydowskich do głosowania, nie tylko na niego i nie tylko na kandydatów - Żydów, ale do głosowania w ogóle, do głosowania na polskich kandydatów, do głosowania w imię podniesienia frekwencji wyborczej, a pośrednio: prestiżu nowego sejmu!

I nie tylko to pisze *dzisiaj* jedyny publicysta spośród obecnych parlamentarzystów z „Koła Żydowskiego" ale także dużo innych złotych myśli. Konstatuje np. bardzo słusznie, że obecni posłowie, pragnąc czymkolwiek zapełnić brak własnego oblicza politycznego i brak programu, ujeżdżają konika antysemityzmu, stąd obecny sejm jest bardziej antysemicki od innych. Wypowiada się też pryncypialnie za rozwiązaniem tego sejmu i za rozpisaniem nowych wyborów na zasadzie demokratycznej ordynacji wyborczej.

Zdawałoby się więc, że to Canossa publicysty z „Kola"? Tak, Canossa, ale tylko w odniesieniu do innych, do sejmu jako takiego. A w stosunku do siebie, w stosunku do „Koła"? Namiętna apologetyka, która zupełnie niespodziewanie przeradza się w jakąś autoapoteozę. Bo poseł posłowi nie równy, a „Koło" reszcie sejmu — bo w złym sejmie jest dobre „Koło".

Czyżby doprawdy? A no, skontrolujmy te racje i obliczenia publicysty z „Koła". Twierdzi p. poseł, że polscy posłowie nie reprezentują społeczeństwa, bo nie zostali wysunięci przez partie i organizacje, a posłowie z „Koła" reprezentują żydowskie społeczeństwo, bo są kandydatami swoich stronnictw, zatwierdzonymi przez zgromadzenia okręgowe. Bardzo nieściśle. Polscy kandydaci na posłów także zostali przed zgromadzeniami okręgowymi wysunięci przez swoją organizację, t. j. przez B. B. W. R., podobnie jak żydowscy posłowie przez grupę „B", „Mizrachi" i „Agudę", podobnie, jak ukraińscy posłowie przez „UNDO'. Ale tu właśnie dochodzimy do zasadniczej wady nowej ordynacji i do istotnej przyczyny bojkotu ostatnich wyborów przez znakomitą większość społeczeństwa. Kandydować mogli tylko ci, którzy zostali de facto zatwierdzeni przez obóz rządzący, a więc jego kandydaci oraz kandydaci tych grup, zwłaszcza mniejszościowych, które de facto poparły ten obóz w decydującej chwili ważenia się losów eksperymentów płk. *Sławka*. Politycy z „Koła" i ich organizacje poparli obóz rządzący, poparli też jego kandydatów na posłów, którzy potem tak pięknie i tak często odwdzięczali się za to. Natomiast stronnictwa żydowskie, wierne zasadzie niezależności naszej polityki, wraz z całym niezależnym społeczeństwem polskim, odmówiły tego poparcia, zrezygnowały z zaakceptowanych kandydatur i nie poszły do wyborów.

Lwia większość społeczeństwa żydowskiego poparła swą abstynencją stanowisko rzeczników niezależności polityki żydowskiej. Pan poseł oblicza wszakże, i bardzo się tym szczyci, że aż 60,000 Żydów głosowało na czterech posłów „Koła", otrzymali więc oni, w przeciwieństwie do swoich polskich kolegów, poparcie społeczeństwa. Ładne poparcie i ładne obliczenie! W r. 1930 (w czasie ostatnich wyborów, przeprowadzonych na zasadzie demokratycznej ordynacji) listy żydowskie w samej Warszawie skupiły około 90,000 głosów, a w całym kraju zdobyły ściśle 670,577 głosów. Posłowie „Koła" zdobyli więc ledwo około 10% głosów wyborców żydowskich, t. j. mniej jeszcze od swoich polskich kolegów z B. B.

Tak wygląda apoteoza i apologetyka „Koła", z takim wysiłkiem przeprowadzone przez jego publicystę, gdy skonfrontujemy je z powszechnie znanymi okolicznościami i suchymi liczbami.

*

P. prezes „Koła" wypowiedział w generalnej dyskusji budżetowej pogląd, że nowe wybory przyniosą uspokojenie i, że: „My (t. j. posłowie „Koła") wierzymy w postępową część ludności polskiej". Poglądom tym należy szczerze przyklasnąć, chociaż mimo woli nasuwa się pytanie, czy p. prezes także we wrześniu 1935 r. „wierzył w postępową część ludności polskiej", a jeśli tak, to czemu wraz z nią nie stanął wtedy na gruncie abstynencji, jako jedynej odpowiedzi na złą ordynację wyborczą?

Z publicystą „Koła" jest jeszcze gorzej, bo nawet dziś nie bardzo wierzy w postępową część społeczeństwa polskiego. Wypowiada się w swym artykule za nowymi, demokratycznymi wyborami, ale zastrzega się, że tylko *w zasadzie*, ponieważ nie wie, jaki będzie dla nas Sejm, wybrany swobodnie przez ludność polską. Tu doszliśmy do istoty różnic w ocenie dróg i perspektyw polityki żydowskiej w Polsce, które zachodzą pomiędzy politykami z „Koła" a obozem demokracji żydowskiej My wierzyliśmy w demokrację polską i poparliśmy ją w ciężkich dniach 1935 roku — wierzymy też w nią nadal i na nią się politycznie orientujemy. Publicysta z „Koła" natomiast jest z natury sceptykiem, dlatego nie podziela naszej wiary, dlatego wraz z kolegami siedzi, nie wiedzieć poco, w gmachu przy ul. Wiejskiej.

Ze złej ordynacji musiał wyjść zły sejm — w złym sejmie może być tylko złe „Koło". Złe „Koło" przestało być dla społeczeństwa żydowskiego narzędziem walki politycznej. Apologetyka i apoteozy publicystyki „Koła" nic w tej kolei rzeczy zmienić nie zdołają...

J. Majus

Na froncie gospodarczym

TROSKI STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

Po kilku latach ożywienia gospodarczego i nieomal nawrotu do dawnej przedkryzysowej „prosperiti" gromadzą się znów na horyzoncie gospodarczym Stanów Zjedn. groźne chmury. W końcu października b. r. przeżyła giełda nowojorska mały „krach". Panika wprawdzie wkrótce potem ustąpiła ale pozostała ogólna nieufność do dalszego kształtowania się sytuacji gospodarczej. W istocie nastąpił silny spadek produkcji i zatrudnienia, szczególnie w przemyśle stalowym, który wyzyskuje obecnie swą pojemność produkcyjną tylko w 36%. Jest to niski stan produkcji, niespotykany w ostatnich latach, najniższy począwszy od 1934 r. Również w całym szeregu innych gałęzi gospodarczych nastąpiło zahamowanie dalszych inwestycji i zamówień. Zakłady przemysłowe korzystają chwilowo z rezerw materiałów, wstrzymując się od finansowego angażowania się na dalszą metę.

Co wywołało tę groźną sytuację, która może mieć nieobliczalne skutki dla najszerszych mas ludności? Wtajemniczeni mówią o *„strajku inwestycyjnym"* wielkiego kapitału finansowego, który tą drogą chce podkopać pozycję Roosevelta i zmusić go do kapitulacji i zrezygnowania z dalszych reform społecznych. Podobnie zresztą było i we Francji, gdzie sabotaż wielkiego kapitału zmusił socjalistycznego premiera rządu ludowego do dymisji. Czy i tu udadzą się kapitałowi jego machinacje, to dopiero okaże przyszłość. Chwilowo pozycja prezydenta jest mocna a projektowany olbrzymi plan budowania domów mieszkalnych, który da zatrudnienie setkom tysięcy ludzi, wskazuje na niesłabnącą inicjatywę gospodarczą rządu St. Zjedn. w walce z nadciągającymi objawami kryzysu.

Lecz do kłopotów wewnętrznych dołączają się troski zewnętrzne. Wciąż dominuje wśród nich postępująca szybkim tempem naprzód ekspansja Japonii w Chinach. Jeśli chodzi o *aktualno*-gospodarczą stronę tego zagadnienia z punktu widzenia Stanów Zjedn. to w niebezpiecznym położeniu znalazły się kapitały amerykańskie inwestowane w Chinach. Stany Zjednoczone umieściły w Chinach ok. 200 milionów dolarów, z czego ¼ w papierach państwowych a pozostałe w rozmaitych przedsiębiorstwach handlowych, przemysłowych i użyteczności publicznej. 50% tych kapitałów było ulokowanych w Szanghaju, nawpół zniszczonym obecnie skutkiem morderczych walk.

Otóż na skutek niesłychanego zniszczenia w Szanghaju i Chinach Północnych wynoszą straty samych tylko amerykańskich towarzystw ubezpieczeniowych 500 milionów dolarów! Stany Zjednoczone zajmowały przed rozpoczęciem działań wojennych pierwsze miejsce z pośród mocarstw w handlu z Chinami; handel ten teraz zupełnie prawie ustał z powodu blokady portów chińskich i zakłócenia normalnego chińskiego życia gospodarczego. Na domiar tego doniosły ostatnio telegramy, że władze japońskie po zajęciu Szanghaju obsadziły swymi urzędnikami chiński zarząd ceł. Lecz przeważnie część pożyczek amerykańskich (i innych krajów) zagwarantowana była właśnie dochodami szanghajskiej komory celnej. Nic dziwnego, że natychmiast nastąpił ostry protest zainteresowanych mocarstw przeciw temu krokowi władz japońskich.

Punkt ciężkości gospodarki amerykańskiej przesuwa się z biegiem czasu coraz to bardziej z Oceanu Atlantyckiego na zachód kontynentu. W 1850 r. mieszkało 90% ludności Stanów Zjednoczonych na wschód od Missisipi a tylko 10% na zachód od niej. W 1920 r. mieszkała już *jedna trzecia* ludności Stanów na zachód od Missisipi. Rozwijający się przemysł w stanach zachodnich graniczących z Pacyfikiem korzysta raczej z surowców przywożonych z Chin, z przeciwległego brzegu Oceanu Spokojnego; transport surowców statkami z Szanghaju i Tientsinu do San Francisco kalkuluje się taniej niż transkontynentalne przewożenie ich tam ze wschodnich okręgów przemysłowych. Przyszłość gospodarcza Stanów Zjednoczonych leży w Chinach, Filipinach i Basenie Południowym; ich życiowe interesy wiążą się już dziś z tymi obszarami. Ekspansja japońska narusza teraźniejsze i zagraża także przyszłym możliwościom Stanów. Nic dziwnego, że w Stanach patrzą z najwyższym zaniepokojeniem na rozwój kampanii chińskiej, i że wobec międzynarodowego powiązania problemów politycznych decydują się St. Zjednoczone nawet na rezygnację z tradycyjnej neutralności i izolacji. Słynna chicagowska mowa prezydenta Roosevelta była tego wyrazem.

FINANSOWANIE WOJNY W CHINACH.

Jak finansuje Japonia swą akcję w Chinach, która weszła już od dawna w fazę regularnej wojny? W pierwszym okresie zatargu odzywały się głosy, że opierająca się na niepewnych podstawach gospodarka japońska nie wytrzyma tego szalonego ciężaru, jaki przedstawia długotrwała wojna z Chinami i niechybnie załamie się w miarę przedłużania się konfliktu. „Polska Gospodarcza" przynosi na ten temat w jednym z ostatnich zeszytów ciekawy artykuł, który bardziej optymistycznie zapatruje się na możliwości Japonii i jej widoki na finansowanie wojskowej akcji.

Autor artykułu porównuje obecną kampanię z poprzednimi wojnami, które Japonia prowadziła. W 1894 r. w wojnie przeciw Chinom wzięło udział 200 tys. żołnierzy i wydano na nią zaledwie 200 milionów Yenów (w złocie). Wojna rosyjsko-japońska w 1904/5 r. trwała dłużej, ze strony Japonii walczył milion żołnierzy i ogólny wydatek wyniósł około 2 miliardów yenów w złocie. Obecnie zaś walczy w Chinach tylko 500 tys. żołnierzy japońskich, zaś wydatek na czas do końca b. r. został obliczony na 2—4 miliardów yenów papierowych t. j. 1 miliard w złocie, czyli o połowę mniej niż w 1904 r. Japonia jest jednak dziś silniejsza gospodarczo niż 30 lat temu, co zwiększa jeszcze bardziej jej szanse. Wzrosły jej zapasy złota, depozyty w bankach, przemysł japoński niesłychanie się rozwinął i przetrwał zwycięsko próbę kryzysu światowego bijąc rekordy cyfr eksportowych, ludność kraju podwoiła się i wynosi dziś wraz z koloniami 100 milionów. Olbrzymie bogactwa gospodarcze i finansowe uczyniły z Japonii mocarstwo w sensie europejskim. Preliminowana suma kosztów akcji wojennej zostanie pokryta obligacjami państwowymi. Reszty dokona dostosowanie gospodarki narodowej do potrzeb wojennych, ograniczenie importu i ścisła kontrola państwa nad poszczególnymi dziedzinami życia gospodarczego.

W tych warunkach — konkluduje autor artykułu — wydaje się, że mimo wszelkie trudności zdoła jednak Japonia wydobyć środki potrzebne na prowadzenie wojny w Chinach.

Ten wniosek byłby jednak słuszny — tylko pod warunkiem, że Japonii uda się jak najrychlej zakończyć wojnę i przystąpić do gospodarczego zorganizowania i eksploatacji prowincyj północno-chińskich należących w istocie do najbardziej zasobnych w bogactwa naturalne. Nie należy zapominać, że wraz z obecnymi zwiększonymi wydatkami na wojnę wzrośnie ogólny japoński dług państwowy do *olbrzymiej sumy 13½ miliardów Yen*. Przemysłowi japońskiemu, który do niedawna zajmował dominujące stanowisko w eksporcie, międzynarodowym, grozi utrata pozycji, zdobytych w ostatnich latach. Bliskiego końca wojny jakoś nie widać, a gdyby ona miała się przeciągnąć lub gdyby miał nastąpić dawno przepowiadany konflikt z Rosją Sowiecką, zostałaby gospodarka japońska wystawiona na bardzo ciężką próbę.

BRAZYLIJSKIE ECHA.

Gospodarcze skutki faszystowskiego zamachu stanu w Brazylii nie dały długo czekać na siebie. Giełdy światowe zareagowały bardzo niepomyślnie na przewrót polityczny. Przyczyną tego było oświadczenie prezydenta Vargasa, że obsługa brazylijskich długów zagranicznych zostanie uzależniona od wpływów z eksportu. Głównymi artykułami wywozu brazylijskiego są kawa i bawełna, których ceny kształtują się rozmaicie a uzależnienie obsługi pożyczek od tych cen, czyni z brazylijskich papierów wartośc. niepewny obiekt lokaty. W ostatnich tygodniach spadły też gwałtownie kursy brazylijskich pożyczek do *połowy* dawniejszych notowań. Szczególnie silnie ujawnił się ten spadek na giełdzie londyńskiej.

W ciągu ubiegłego roku zawarła Brazylia 36 prowizorycznych układów handlowych z rozmaitymi krajami. Jest jednak nieprawdopodobnym, by wymówiła je, podobnie jak uczyniła z obsługą długu zagranicznego, gdyż mimo wszystko zależy Brazylii na utrzymywaniu normalnych stosunków handlowych z wszystkimi krajami. Dochodzi tu jeszcze jeden moment. W przewrocie brazylijskim upatrywano — i to zupełnie słusznie — rękę agentów hitlerowskich. Niemecy jednak skorzystają na przewrocie raczej *politycznie* niż gospodarczo. Jak donosi „Prager Presse" nie ma Brazylia wcale zamiaru powiększać swego obrotu handlowego z Niemcami, gdyż wymiana towarów z tym największym odbiorcą produktów brazylijskich narusza zbyt silnie gospodarkę dewizową kraju. Cóż bowiem ofiarują Niemcy wzamian Brazylii? Gotowe fabrykaty i małowartościowe marki, których nikt nie chce przyjmować. Radość prasy hitlerowskiej z powodu *gospodarczych* korzyści jakie brazylijski przewrót przyniesie Niemcom była za tym przedwczesna. Pozostają tylko polityczne konsekwencje przewrotu, który oznacza postępującą naprzód faszyzację kontynentu południowo - amerykańskiego.

PRZYSZŁOŚĆ SUROWCÓW SYNTETYCZNYCH.

Propaganda państw autarkicznych mówi wiele w ostatnich latach o uniezależnieniu się od zagranicy, o stworzeniu własnej bazy surowcowej itd. Jedną z dróg do tego celu ma być praktykowane szczególnie w Niemczech i Włoszech wytwarzanie t. zw. surowców syntetycznych i namiastkowych. W istocie mamy tu w dużej mierze do czynienia z sukcesami laboratoryjnymi ,co wcale nie oznacza jeszcze rozwiązania gospodarczego problemu. Koszty produkcji tych surowców i materiałów zastępczych są często olbrzymie i można zrozumieć wytwarzanie ich tylko na tle chorobliwej manii osiągnięcia autarkii, jaka cechuje państwa prowadzące gospodarkę wojenną już dziś w czasie „pokoju".

Niektóre surowce zastępcze nabrały już znaczenia gospodarczego. Tu należy wymienić przede wszystkim *sztuczny jedwab*, który zdołał nawet wyprzeć w szeregu krajów surowiec naturalny. Bliski rentowności jest już młody przemysł *sztucznej wełny*, który rozwija się w Niemczech od kilku lat i osiągnię w r. b. wysoką cyfrę produkcji — 100 tys. tonn. Zaspokaja ona w 30% niemieckie zapotrzebowanie wełny i o tyleż mniej wełny niż w ubiegłych latach sprzedają obecnie do Niemiec hodowcy owiec w Australii, Południowej Afryce i Nowej Zelandii.

Nowym surowcem włókienniczym jest ostatnio *kotyna*. Są to włókna rośliny, która w przeciwieństwie do bawełny nadaje się do uprawy w klimacie umiarkowanym. Wytrzymałość tych włókien jest zaś o wiele wyższa niż bawełny.

Wciąż niezmiernie wysokie są koszty produkcji *sztucznej benzyny*, *nafty* i *kauczuku syntetycznego*. Jest to jeden z największych cudów techniki nowoczesnej, osiągnięty w Niemczech, długoletnim nakładem pracy, wątpliwą jest jednak doraźna korzyść gospodarcza tych wynalazków t. j. rentowność ich eksploatacji.

W lipcu b. r. odbyła się we Frankfurcie nad Menem wystawa niemieckiego przemysłu chemicznego, gdzie szczególne miejsce poświęcono produkcji *mas sztucznych*. Surowcami z których się je wyrabia są celuloza, woda, węgiel, kazeina, wapno i powietrze. Są to masy twarde i miękkie lub sprężyste, przeźroczyste lub barwne i nadzwyczaj wytrzymałe. Mogą one zastąpić metale, kauczuk, drewno, szkło itd. Na wystawie demonstrowano także scukrzanie drewna przy pomocy kwasu siarkowego pod ciśnieniem dla otrzymania zastępczego pokarmu dla bydła. Przy dalszej fermentacji można otrzymać przy tym procesie spirytus do silników. Ze 100 kg. drzewa otrzymuje się 50 kg. cukru i 24 l. spirytusu. Prace nad udoskonalaniem mas syntetycznych i wynajdywaniem coraz to nowych odmian są zakrojone na wielką miarę. 70 instytutów naukowych w Niemczech realizuje je.

Jaka jest przyszłość przemysłu surowców syntetycznych i mas zastępczych wchłaniających dziś w Niemczech i Włoszech olbrzymie kapitały? Otóż każde uchylenie reglementacji odgraniczających od rynku światowego musi nieuchronnie zniszczyć wartość kapitałów inwestowanych w tych gałęziach. Raz inwestowany kapitał musi być za tym zainteresowany w utrzymaniu muru ceł i zakazów przywozowych. Jednak część tych wynalazków i gałęzi przemysłowych ostanie się również i po tualnym powrotnym włączeniu się Niemiec do gospodarki światowej. Lecz tylko ta, którą przebiją zwycięsko koszty produkcji surowców naturalnych.

MAX WERNER

Spiski we Francji

Prawica francuska, a szczególnie rozstrzygające wśród niej elementy, nie jest już nacjonalistyczna. W 1935 ocalił prawicę francuską Mussolini, a Trzecia Rzesza również żywi nadzieje współpracy z nią. Klęska wyborcza prawicy w maju 1936 roku była dla Francji zbawienna.

Klęska ta doprowadziła do rozkładu, skandal następował po skandalu. W lecie 1937 wyszła na jaw afera pana La Rocque, którego Partia Społeczna walczyła o egzystencję. Potem afera Troncoso, której ślady doprowadziły do wykrycia potężnej sieci spiskowej.

*

La Rocque jest „politycznie wykończony". W lecie Tardieu udzielił prywatnych informacji księciu Pozzo di Borgo i książę poprowadził kampanię przeciwko przywódcy Krzyża Ognistego. Teraz Tardieu wystąpił osobiście podczas procesów w Lyon i Paryżu; stanowczo i urągliwie twierdził, że La Rocque był utrzymywany z tajnych funduszów rządowych i że posługiwano się nim dla różnych zamiarów politycznych. Kandydat na dyktatora był zawsze kukłą w ręku rządzącej reakcji. Jesienią 1934 ówczesny minister spraw wewnętrznych Marchandeau, który należał do prawego skrzydła radykałów, w rozmowie ze swym kolegą Lemery, ministrem sprawiedliwości w gabinecie Doumergue, powiedział: „La Rocque? Mam go w ręku!" Teraz Tardieu ukazał podrzędność stanowiska pana La Rocque w występie, który stał na poziomie premiery teatralnej; wystawiono sztukę społeczną, w której były premier, cwany businessman polityczny, rozprawia się i ośmiesza swego przeciwnika, notorycznego oszusta politycznego. La Rocque potrzebny był panu Tardieu do bardzo prostych zadań: Croix de Feu mieli urządzać na dworcach owacje ministrom i grać rolę „rozentuzjazmowanych tłumów"; mieli jako równoważnik partii proletariackich spotęgować aktywność nacjonalistycznej prawicy. Polecenia te La Rocque spełnił ze skrupulatną dokładnością, a dość naiwny był, by opowiadać przed sądem, jak to inscenizował te hołdy przed Tardieu: on sam stał na dworcu obok kontrolera biletowego. A gdy „francuski Führer" otrzymał w mieszkaniu prywatnym pana Tardieu odpowiednie sumy, stuknął obcasami i wypalił: „Do usług, panie premierze!" Na sali sądowej czytano listy, które La Rocque pisał do Tardieu — istny wzór służalczości. „Pan ma duszę bojownika, naczelnika, oficera sztabu generalnego" — było tam napisane — „Pan jest duszą kraju" — a w końcu: „Jutro o godzinie dziewiątej przyjmę pańskie polecenia".

Kiedy La Rocque próbował się zaprzeć sum rządowych, Tardieu rzucił mu w twarz: „Od chwili gdy pan jako absolwent opuścił szkołę wojskową Saint Cyr, mówi się tam: kłamie jak La Rocque!"

Teraz prawica francuska jest oczywiście przeciw La Rocque. Leon Daudet napisał o nim w „Action Française", że jest nie tylko ciemnym i przekupnym osobnikiem, ale również kompletnym nieukiem i niedołęgą. Nienawiść byłych towarzyszy jest zrozumiała: kiedy akcje prawicy francuskiej szły w górę, La Rocque był ważniejszym pretendentem.

Na sali sądowej w Paryżu skończyła się kariera polityczna pana La Rocque, a tym samym została też pobita jego partia, która jeszcze nie dawno była najsilniejszą i najbardziej niebezpieczną organizacją reakcyjną, jaka kiedykolwiek we Francji istniała. Ale Tardieu, zimny cynik, a z pewnością najcenniejszy skarb prawicy francuskiej; również nie opuścił sali sądowej jako zwycięzca. Kerillis, który jeszcze wczoraj był jego przyjacielem, otwarcie zarzucił mu kłamstwo i przestępczą intrygę...

*

Jeszcze trwały spory na temat skutków procesu La Rocque - Tardieu, kiedy wykryta została druga większa afera. Seria zamachów, które latem trzymały Francję w napięciu, została wyjaśniona.

Odkryta została szeroko rozgałęziona organizacja terrorystyczna, która nazywała się „Milices Secrètes Revolutionaire" lub też „Comité Secret de l'Action Revolutionaire". Była ona w posiadaniu wielkiej ilości broni; dotychczas znaleziono: prawie sto karabinów maszynowych, mnóstwo broni automatycznej, całe tonny silnych materiałów wybuchowych. Badania policji wykazały już, że spiskowcy rozporządzali bronią wartości wielu milionów franków. Znaleziono składy broni w Paryżu, we Francji północno- i południowo zachodniej, w zamkach arystokratów, na opuszczonych terenach przemysłowych, na wsi. Terroryści faszystowscy posiadali wiele tajnych stacji nadawczych. Część reakcji francuskiej poszła więc nowymi drogami i stworzyła ściśle konspiracyjną organizację spiskowców, która przygotowywała dyktaturę, a tymczasem dopuszczała się aktów terroru: zabójstwa domniemanych zdrajców i niepewnych przemytników broni, którzy za dużo wiedzieli.

Kto tu gra główne role, a kto jest statystą? Technicznym leaderem był przypuszczalnie pan Eugène Deloucle, wybitny inżynier o rozległych stosunkach w kołach przemysłowych. Aresztowani są: niegdyś bogaty, a teraz podupadły przemysłowiec Moreau de la Meuse; wielki przemysłowiec Marius Olive; były generał w lotnictwie Dusseigner, który miał być łącznikiem między organizacją, a pewnymi kołami oficerskimi; były szef departamentu w ministerstwie lotnictwa, Lovent - Eynac, dzielny żołnierz i awanturnik; przedstawiciele złotej młodzieży paryskiej, młodzi bons vivatus, jak Robert de la Motte, Saint-Pierre i Hubert Pastré; wreszcie niezmiernie bogaty arystokrata książę Pozzo di Borgo, który występował jako oskarżyciel polityczny przeciwko panu La Rocque, a teraz zawikłany jest jako oskarżony w o wiele poważniejszą sprawę.

Spiskowcy są społecznie związani wyłącznie ze sferą szlachecką i wielkim przemysłem. Rodzina de la Motte Saint-Pierre jest spokrewniona z kwiatem szlachty francuskiej, między innymi z rodziną Rohan i Polignac; wspólne interesy zaś łączą ją z kołami wielkich przemysłowców. Związek ze sferą szlachecką i wielkim przemysłem ma też inny członek bandy, młody właściciel zamku — Hubert Pastré, którego rodzina nosi papieski tytuł hrabiowski.

Przy badaniu politycznych stosunków spiskowców odnosi się wrażenie, że należą do przeciwników La Rocque'a wśród prawicy francuskiej, do odłączonych Croix de Feu i do kół monarchistycznych. Książę Pozzo di Borgo stał na czele opozycyjnych Croix de Feu; generał Dusscigneur, który razem z nim założył Union des Comités d'autodefense, chciał uczynić z tej organizacji przeciwnika Partii Social Francais pana La Rocque. Kontakt spiskowców z ruchem monarchistycznym był ścisły, policja zrewidowała przeto redakcję oficjalnego organu monarchistycznego „Le Courrier Royal" i przesłuchała redaktora naczelnego.

Wydaje się jednak, jakoby otoczenie La Rocque'a też wiązały pewne nici z terrorystami. Terroryści noszą na swym godle lilię Bourbonów. Adiutant pretendenta do tronu z domu Bourbonów, książę de Guise, jest jednak bratem pana La Rocque. Najwybitniejszy parlamentarzysta Partii Social Français i najbliższy współpracownik La Rocque'a, poseł Ybarnegaray, jest spowinowacony z rodziną spiskowca de La Motte Saint-Pierre. Czy to między terrorystami znajdowali się opozycyjni Croix de Feu, którzy nie godzili się na zamianę organizacji w stronnictwo parlamentarne — czy też owi aktywistyczni Croix de Feu zostali stamtąd odkomenderowani do organizacji terrorystycznej?

W każdym razie cała prawica francuska haniebnie się skompromitowała, jak również skompromitowały się owe „apolityczne" koła kapitalistyczne, które różnymi sposobami utrzymywały stosunki z terrorystami. Po wyborach w 1936 wielcy posiadacze francuscy finansowali liczne radykalnoprawicowe przedsięwzięcia, w tym również partię renegata Jacques Doriot. Czy i w tę zbrodniczą imprezę Doriot był wplątany?

*

Jeden rys nadaje temu spiskowi szczególne znaczenie: jego zależność od faszystowskiej zagranicy. Chautemps, którego ostrożność jest przysłowiowa, zaznaczył to w swej mowie gabinetowej, mówiąc, że śledztwo przyniesie niespodzianki niezwykłej wagi. 26 listopada pisał „Populaire", organ Leona Bluma i ministra spraw wewnętrznych Dormoy'a — gazeta, która nie znosi przesady:

Afera ta nabiera większej wagi o tyle, że centrum „Comité Secret de l'Action Revolutionaire" znajduje się poza Francją. I oczywiście dokumenty znalezione przy rue de Provence, dostarczają jasnych wiadomości o tym. Kierownicza instancja tej organizacji podobno ma swą siedzibę w Niemczech.

27 listopada („Populaire") pisał kategorycznie:

Kierownicza instancja tej całej tajnej organizacji prowadzonej przez Eugène Deloucle, ustanowiona została w Niemczech.

Twierdzi tak jednak nie tylko prasa lewicowa, tak samo uważa prawicowa. Kerillis, który zarzucał Tardieu, że obwiniając La Rocque'a urazi śmiertelnie prawicę francuską, ten sam Kerillis pisze teraz stanowczo i ostro o zagranicznych agentach i o pogardzie, jaką czuje dla „nacjonalistów, którzy stali się narzędziem w ręku nieprzyjacielskiej zagranicy. Również i organ katolicki „Aube" mówi z gniewem i oburzeniem o terrorystach francuskich, którzy działali z polecenia mocarstw zagranicznych.

Nie idzie tylko o nową metodę francuskiego faszyzmu, ale też i o nowe metody mocarstw faszystowskich, które teraz zostały wykryte: chodzi o terror, szpiegostwo i prowokację, której dopuszczają się faszyści z sąsiedniego kraju. Prasa francuska podkreśla, że tajne stacje nadawcze spiskowców były skoncentrowane w pobliżu ważnych obiektów militarnych, w pobliżu lotnisk, koszar i portów. Nie wolno też zapominać, że zamachy terrorystyczne z sierpnia miały wywołać w kraju panikę, wskazać na rozprzestrzenienie się tam anarchii i zrzucić odpowiedzialność za wybuchy bombowe na Front Ludowy. Bomba w mieszkaniu generała Pretelat, członka Naczelnej Rady Wojennej, miała podburzyć wyższych wojskowych przeciwko lewicy. Było to stosowanie we Francji metody podpalenia Reichstagu.

Jojna Frydman i S-ka
sukcesorowie I. FRYDMANA
Młyn w Łucku
Rok założenia 1908.
Telefony: 172, 508, 36.
Adres dla depesz:
MŁYN FRYDMANA ŁUCK.

Bogowie a ludzie

Pogoń za informacjami jest bezsensowna: kiedy się je wreszcie otrzyma, są już przestarzałe, a przez to niezupełne, przeinaczone i pełne przesady lub zupełnie niejasne. Już od 1918 roku nie było tyle tajemnej dyplomacji, blagi propagandowej i balonów próbnych.

Ale pogoń za informacjami nie ustanie. Błędem jest zrzucać odpowiedzialność za to na prasę, która cierpi głód sensacji. Poważni dziennikarze są pełni troski, ludzie są podnieceni, wszyscy łakną wiadomości, wyjaśnień i objaśnień. Wszyscy zaś miarkują sobie, że bogowie, obradujący na wyżynach Berchtesgaden i na nizinie nad Tamizą, rozstrzygją o nas wszystkich, o wolności i ucisku, o wojnie i pokoju.

Czym byliby bogowie bez ludzi? Brakiem wszelkiej wagi. Światła ludzkość może ich usunąć na bok, przepędzić, ludzkość wierząca zabobonna, nie uświadomiona zagląda im w oczy, tłumaczy każdy znak, leci na skinienie i sama robi z siebie poddanych. Narody całego kontynentu zachodzą w głowę, o czym mógł mówić Hitler z Halifaxem, i jak się zgodził Chautemps z Chamberlainem. Od paru tygodni trwają kombinacje i domysły, głosy ufności i paniki nawzajem po sobie następują, a to wszystko dlatego, że paru lordów, którzy mają mało stronników i w każdym razie za duży wpływ, że paru drugorzędnych bogów upodobało sobie propagowanie polityki zdrady w stosunku do pośrednich sojuszników.

Co planują ci panowie? Pokój, który dziś panuje, da się — jak powiadają — utrzymać i nawet ugruntować! W końcu jednak ten pokój nie jest niczym innym, jak kontynuowaniem i rozpowszechnianiem za pomocą innych środków wojny, która już wybuchła.

Pokój, który dziś panuje — to otwarcie i potajemnie prowadzone wojny domowe; to otwarta i potajemna interwencja; to dokonane już, choć jeszcze nie uznane, zabory; i wyprawy propagandowe, które przygotowują nowe zabory. Pokój ten — to z dumą przez Mussoliniego przed paru laty przepowiadany „uzbrojony pokój".

*

Nieprawda to, że bogowie są wszechwładni. Mogą wprawdzie przynieść wiele nieszczęść, mogą swym niedorzecznym postępowaniem spowodować wojnę, która teraz dałaby się jeszcze uniknąć, mogą przedłużyć niewolę innych narodów drogą Świętego Przymierza wszystkich olimpijczyków — ale mogą to uczynić, wzbudzając opór, równocześnie prowokując na nowo do powstań i rewolucji ludzi, którym obrzydzają życie.

Czy Abisynia została zdobyta? Ten rozdział historii świata nie jest jeszcze skończony. W Abisynii trwa walka Czy Hiszpanie poddali się faszystowskim bogom? Wiele tysięcy ludzi zginęło, ale naród trzyma się mocno. Czy Hiszpanie przyjęli radę brytyjską, by zawrzeć pokój i po dziesięci ulatach stworzyć feudalną monarchię? Czy Chińczycy dadzą pokój, jeśli ich kraj będzie podzielony i pokrajany w kawałki? Chiny przeżywają od ćwierć wieku wojnę domową, a spokój i porządek przywrócone tam będą dopiero, gdy zjednoczone państwo zaprowadzi rozumny i masom swej ludności odpowiadający ład.

Czy Anglicy mogą podzielić środkową Europę według swego widzi mi się? Kto zna dzieje i rozczłonkowanie krajów naddunajskich, wie, że to jest rzeczą niemożliwą. Przestarzała kasta wyrokuje o kontynencie w myśl sympatycznych dla niej zasad, którymi jej pradzadowie kierowali się w polityce. Gdyby wyliczenia tych panów się sprawdziły, cały kontynent musiałby się stać widownią rebelii poszczególnych narodów i powstań klasowych.

*

Szkoda, jaką spowodowali panowie: Londonderry i Astor — ażeby wymienić nieurzędowych członków życzliwego Hitlerowi koła — jest wielka.

Zjednywanie sobie sprzymierzeńców w przeciwnym obozie należy do polityki narodowych socjalistów. Próbkę tego, dokąd to może zaprowadzić, mieliśmy właśnie w sprawozdaniach policji francuskiej; nie jednemu też przypomną się przy tym wiadomości, podane przed kilkoma miesiącami o planach Tuchaczewskiego. Zaczyna się od tych państw, gdzie mieszkają „Volksdeutsche". Następnie próbowano w Anglii z faszystami Mosleya. Nie doprowadziło to do niczego, ale arystokracja brytyjska wywiera realny wpływ.

Jeżeli to dało tylko ten rezultat, że Berlin uzyskał nowe źródło dla swych iluzji — to i tak jest bardzo źle. Nadzieje niemieckie odnośnie owych potężnych kół brytyjskich, które w 1914 opowiadały się za neutralnością, obudził wtedy Wilhelm II. Doradcy Hitlera nie mogą się jednak powołać na nic prócz nastrojów. Rola Anglii w polityce hiszpańskiej —to jednak rzeczywistość. A wpływ Anglii na Francję, jakkolwiek znienawidzona tam jest Wilhelmstrasse, wydał też pewne owoce: dzięki Londynowi to Francuzi zgodzili się na wszystkie dotychczasowe pogwałcenie układów, przede wszystkim na obsadzenie Nadrenii, co formalnie stanowiło podstawę do wojny, i dzięki Londynowi również nie podkreśla się już od dłuższego czasu paktu francusko-rosyjskiego, a dyplomację sowiecką odsunięto zupełnie w cień.

*

W Lidze Narodów narody nigdy nie miały wiele do powiedzenia. Była to jednakże instytucja, na terenie której bogowie upodobniali się do ludzi. Przemawiali tam do całego świata, znosili krytykę, słuchali kontrargumentów i musieli się usprawiedliwiać. Byli zmuszeni uznać, że są związani tymi zasadami prawnymi, z których sami wyprowadzili pakt z narodami, zmuszeni byli konstatować gwałcenie prawa i potępiać to.

Liga Narodów jest marą. Jeśli zostanie rozwiązana, ruszy wszystkich sumienie i nic więcej. Można ją odroczyć, aż nadejdą lepsze czasy. — Lepiej jeszcze: można jej żądać, jak się żąda pewności zbiorowej, której nie ma. Teraz znów nastały inne czasy, złe czasy egoistycznej polityki mocarstw i układów sojuszniczych.

Nowych, dobrych czasów, w których znowu, powrócą prawa ludzkie i prawa narodów, pragną tylko małe narody i te państwa, w których naród wywalczył sobie władzę. Tylko te państwa zasługują bez zastrzeżeń na miano „państw pokojowych", chcą one czegoś więcej, niż chimery pokoju naszych czasów. Wielkie mocarstwa zaś dzielą się na dwie grupy: na takie, które chcą wojny, i takie, które radeby okupić pokój cudzym kosztem.

*

Połączenie się tych dwuch grup byłoby katastrofą, byłoby próbą pozostawienia kilku państwom dyktatorskim samodzielnej jeszcze części kuli ziemskiej do skolonizowania. Jak się ta sprawa przedstawia?

Są w Europie cztery mocarstwa, które mogą być brane pod uwagę w związku z takim zjednoczeniem, noszącym formalnie nazwę „paktu czterech". Nie wydaje się, jakoby doszło do skutku w Londynie i nieprawdopodobną rzeczą jest, by taki pakt mógł być trwały. Próby były już raz przedsięwzięte i spełzły na niczym. Gdyby pakt ten zamknąć w granicach nowopowstałej zmodyfikowanej Ligi Narodów, byłaby ona narzędziem w ręku bezlitosnych mocarstw. Projekt ten wyłonił się przed kilku laty i pociągnął za sobą zrozumiałe same przez się następstwa: mniejsze państwa, które były zagrożone z tej strony, oparły się trwożnie o inną, sowiecką. Powstał natychmiast przeciwny blok i ściągnął na nowo wszystkie niebezpieczeństwa, które inne mocarstwa chciały od siebie odwrócić.

Nie to jednakże jest najwłaściwszą przyczyną, dla której połączenie się czterech wielkich mocarstw przeciwko wszystkim małym musi się nie udać. Kto czytał „Mein Kampf" Hitlera i studiował aspiracje Mussoliniego, wie, że te apetyty nie dadzą się zaspokoić małą zdobyczą. To, czego oni teraz żądają, to tylko horse d'oeuvre; co najwaniejsze — dać mogą tylko wielkie mocarstwa. W Anglii lekceważy się ogromne, a zbyteczne inwestycje, na które zdecydowała się w ciągu ostatnich lat pięciu gospodarka niemiecka. Ten rozbudowany nadmiernie aparat niemiecki, może się ostać tylko w wypadku, gdy ze starych mocarstw wykroi się nowe światowe mocarstwo, gdy więc ustąpią one przynajmniej sfery swych wpływów, które stopniowo zamienią się w politvczną własność. Aby uzdrowić to zbankrutowane przedsięwzięcie niemieckie, trzeba więc znacznie więcej, niż to ofiarować może świat zachodni; warunkiem ustępstw ze strony Niemiec zaś jest przebudowa wewnętrzna, likwidacja istniejącego regime'u.

Na nieszczęście dla reakcjonistów wszystkich krajów od pewnego czasu zaznacza się upadek moralności u narodów i upadek realnych interesów państw. Nie wszyscy bogowie to zauważyli. Ludzie winni im sprawę wyjaśnić.

S. P.



MAURYCY SZYMEL

WIERSZE

ROZMOWA Z PANIĄ ŁUCJĄ.

Tak, tak moja pani,
Mam lat trzydzieści,
A już nie jestem, ani bałamutny,
Ani okrutny,
Ani rozrzutny,
Tylko najzwyczajniej w świecie — smutny,
Tak. Smutny.

Że tak powiem — minorowy.

Te wszystkie piękne głupstwa dawno mi już wywietrzały z głowy...
Nie jestem cyniczny,
Ani bukoliczny,
Ani seraficzny,
Ani perfidny,
Ale najzupełniej trzeźwy
I najoczywiściej — solidny.

Pani dziwi się, że mówię takim tonem,
Że taką oschłość między nas wprowadzam,
Mój Boże,
Mam przecież żonę,
Której nie zdradzam
I takie kłopoty,
Że doprawdy nie mam czasu na zaloty i tęsknoty...
Jestem — jak to mówią — prostolinijny,
Zwyczajny mieszczuch...
I — o, horror! — religijny —
Doprawdy nie wiem, jak się te słowa w pani płochych uszkach pomieszczą.

Ale cóż ja na to poradzę, kiedy to tak już jest.

Za rok, za dwa lub za trzy
Będę miał z Bożej łaski
Córkę lub syna
I skończą się sny...
Będę popychał wózek w Ogrodzie Saskim —
Po tym przyjdzie łysina
I brzuszek (a jakże... a jakże...)
Trzeba już pomyśleć o podagrze
Trzeba wyobrazić sobie to zawczasu
I spokojnie spojrzeć w oczy Czasu
Demoniczne i złośliwe...

Ot, i pani... ma... już jedno pasmo włosów... siwe...
Tak, tak kochana pani Łucjo
Nie zmienimy tego rewolucją,
Ani łzami,
Ani wierszami,
Ani biadoleniem,
Ani westchnieniem...

Pani... zła... że mówię o tym?
Ależ... ja... nic... Ja... tylko, ot tak sobie...
Nie o pani... tylko o sobie...

ROZMOWA Z PANEM MIKOŁAJEM.

Ani myślę pana przekonywać,
Panie Mikołaju.
I to teraz — w maju,
Kiedy drzewa są naprawdę już zielone — —
Uśmiecha się pan tajemniczo,
Pan myśli, że jestem zmartwiony
Pana nienawiścią — —
Nie, kochany panie Mikołaju —
Jestem tylko zachwycony
Tą okiścią
Brzozy rozszumionej.
Poza tym jestem spokojny i szczęśliwy.
Będą śliwki — — — czarne, lśniące aksamitki —
Choć pan — Polak, a ja — Żyd
Będziemy je jedli razem, —
Bo śliwki — to nie antysemitki
Każdemu dają sok swój i swą słodycz — —
Nie poskąpią mi też cienia ogrody, —
Obłok uśmiechnie się do mnie, jak i do pana
Będziemy razem zbierać kwiatki —
I miód pić będziemy z jednego dzbana
(Pszczoły — to demokratki)
Pozatem —
Mam oczy jasne jak i pan
Kochany panie Mikołaju
I dłoń szczerą do uścisku skorą
I serce mam, jak pan
I smutek ten sam —
Tak, tak kochany panie Mikołaju.

Kiedyś — za sto lat — będziemy razem
W piekle albo w raju —
Drogi panie Mikołaju —
A tam — wiadomo — jeden kocioł,
Albo jedna wieczność promienna.
A więc pocóż te grymasy, panie Mikołaju —
I to teraz — — — w maju
Fe, to brzydko panie Mikołaju — — —

KOMPOZYCJA.

Złotowłosa dziewczynka ma rozchylone usta i zdziwione oczy.
W cyrku gra Kolombinę. Ale jest królewną.
Wiem o tym zagubiony w deszczu, człapiący w błocie ulic.
Wiem napewno.

Gdybym chciał, mógłbym ją do siebie przytulić.
Ale w mieście jest wiatr, jest ciemno.
Pod wysokim murem dogorywam,
W zielonej sukience pochyla się nademną
Ona — Aksamitna. Wstydliwa. Bojaźliwa.

Po dachach chodzi długonogi wiatr ciężkim, niecierpliwym krokiem.
Z drzew spadają liście
Cicho i uroczyście.
W świetlistych szybach cukierni leżą kolorowe karmelki.

Czego szukasz panienko pod zatęchłym murem?
Zamoczysz sukienkę i złote pantofelki...

Z nor wyłażą lśniące szczury,
Brzuchate, śliskie, wąsate...
Zamknij oczy. Szkoda twych oczu ciepłej zieleni.
Oczom niebieskie daj kwiaty,
A nie rozpryskane błoto podmiejskiej jesieni...

Takie tkliwe, takie żałośliwe ręce masz,
Taką małą i anielską twarz,
A dokoła ciemno... ciemno...
Ach, nie lituj się nademną... Nie pochylaj się nademną...

Biedna, złotowłosa panienko,
Kto kazał zejść ci po słonecznych, marmurowych schodach
W dół... W ten deszcz i wiatr...
Nie zapomnij o szumiących, o pachnących twych ogrodach...
Kogo szukasz?
Domy cieniami walą się na ciebie,
A ty jak Noemi
Zapomniałaś o niebie
I chodzisz po ziemi...

Takie tkliwe, takie żałośliwe ręce masz,
Taką małą i anielską twarz,
A dokoła ciemno... ciemno...
Ach nie lituj się nademną... Nie pochylaj się nademną....

SANNA W KOROSTOWIE.

Śnieżny sen. Sine srebro. Sosny. Sanie. Słowa.
Wołaj, witaj wiewiórki. Całuj każdy ich ślad.
Trzeba z siebie wykwitnąć. Zacząć siebie odnowa
I zaszumieć śnieżycą. I zaśpiewać, jak wiatr.

Słońce suszy ślad sanny. Suńmy w zaspy te sańmi!
Płowie płaty. Płoń koniu! Wichrze wiej, szum i graj!
Nie wracajmy do domu. Raczej tutaj zostańmy —
Wśród tych krzewów śnieżystych śniegiem pachnie nam... maj!

Rajem niebo przepływa. Chciałbym drogi, byś pojął!
(Spójrz, jak cieniem niebieskim mknie po śniegu ten ptak!)
Boję się tej ciszy i tego spokoju...
Za dobrze jest tu sercu. Znam to. Zły to znak!

Bo nie wolno nam nazbyt radować się w sobie —
Ktoś za nami wciąż chodzi. Podsłuchuje jak szpieg.
Jutro radość odbierze. Pozostawi w żałobie
Sannę, sosny, mnie, ciebie, słowa, serce i śnieg.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Rzecz o tyranie

(Mehring „Di Nacht des Tyrannen").

Aby zapobiec błędnym sądom, Walter Mehring umieszcza na ostatniej stronie swej najnowszej książki p. t. „Di Nacht des Tyrannen" małą apologię: „Autor starał się stworzyć postać, która byłaby możliwie czystym uosobieniem tyranii, niezależnym od wszelkich współczesnych wzorów".

Mehring nie chciał potretować w swej powieści ani Hitlera ani Mussoliniego, nie chciał też zgoła tworzyć ich karykatury. Mehring nie chce potępiać ani chłostać, nie chce wywołać nienawiści, ani pobudzić do zemsty. Ale chce wyjaśnić, chce wskazać, co sprzyja rozwojowi tyrańskiwa, a tym samym oddać i faszystowskiemu dyktatorowi sprawiedliwość psychologicznej analizy. Choć wojujący przeciwnik bronzowego barbarzyństwa, nie chce Mehring tu w powieści polemizować ani agitować, łecz chce być poetą. A to znaczy współczuć i współcierpieć z postaciami, twórczo skonstruowanymi, to znaczy uznać człowieczeństwo również w tyranie, jak i w każdym przestępcy i wrogu kultury społecznej.

W danym wypadku osiągnąć to można tym łatwiej, że Martinez Llalado, przywódca, lila koszul,którego znakiem bojowym jest biała szubienica w czarnym polu, mąż jutra, przed którego żelazną wolą drży małe państewko południowo-amerykańskie, już na pierwszej stronie książki jest umierający. U progu władzy, pięć minut przed jej osiągnięciem, kule rewolwerowe rzucają go na bruk. Istotną treść cienkiego, pieczołowicie opracowanego tomika stanowią — w zupełności wypełniając środkową część — wspomnienia śmiertelne rannego, wywołane przez majaczącą fantazję. Wspomnienia o tym, jak się stał, jak musiał się stać tym, czym był.

Wzgardzony bękart, którego ojciec był nawpółdzikim, wrzeszczącym koczownikiem, wzrastał w norach, śmierdzących uryną, w zimne noce tuląc się z lubością do brzuchów śpiacych w chałupie świń. Potem częściowo wierząc w to, częściowo wyzyskując głupotę wieśniaków, etablował się jako znachor-cudotwórca i w ten sposób próbował wywierać na ludziach swą przemoc. Potem zajmował sie ściąganiem kurtyny w teatrze i jeszcze lepiej nauczył sie przy tym grać przed ludźmi komedię. Przypadek tylko spowodował to, że stał się mówcą wiecowym, a ponieważ był dość bezwstydny, by wciąż powtarzać to samo, zwerbował sobie gromadę ludzi, z których dzięki swym brutalnym pięściom uczynił ślepo sobie posłuszną bandę, nieustraszoną gwardię przyboczną. Z nieustępliwym fanatyzmem szedł naprzód, hypnotyzował niezadowolony naród, osłabiał rząd; codzień przemawiał przez trzy minuty a stosownie do tych trzech minut codzień wzrastające tłumy układały swój plan dnia. Llalado zmobilizował uwielbiające go hordy z puszczy do marszu na stolicę, postawił (istnieją jednak pewne zupełnie jednoznaczne analogie) ultimatum sędziwemu prezydentowi republiki. Fala faszyzmu zalała kraj. Wtedy w ostatniej chwili... zamach. Naczelnik pada; pod zwaliskiem kolosu kończy się to, co wydawało się nie do pokonania.

Tyran umiera. W obłędzie przedśmiertnym widzi wszystkie burzliwe etapy prawie demonicznej kariery, złamanej teraz w tak pełen grozy sposób. Wśród pieniącej się krwi i krzyku kończy Martinez, podczas gdy wydany zostaje rozkaz aresztowania jego wiernych lila koszul.

Z zadowoleniem (ale i odrobiną przykrości, że lila to nie bronzowy...) odkłada się romantyczną balladę nowelową Mehringa; dobrze jest widzieć poetę, uśmiechającego się między jedną łzą a drugą.

ROBERT BREUER

Powieść o małżonku

Oskar Maria Graf: „Bolwieser"

Bolwieser naczelnik stacji w małym miasteczku bawarskim, jest dzielnym człowiekiem, uczciwie spełnia swoje obowiązki, a jednak wpada w nieszczęście. Nie w ciągu jednej nocy, nie za jednym zamachem, lecz stopniowo i początkowo zupełnie bezwiednie godny zaufania urzędnik schodzi na manowce, popełnia krzywoprzysięstwo, zostaje wygnany, nie potrafi się bronić i pewnego dnia znajduje się w domu poprawczym. Wypuszczony na wolność zostaje Bolwieser przewoźnikiem. Jest to nieszczęśliwy człowiek, któremu brakło odwagi, by w ważnej chwili swego pozornie tak zapewnionego życia zrobić decydujący krok, wyzbyć się przyzwyczajeń i rozstać się z żoną.

Dzięki tej prawdziwej postaci, która z życia weszła do literatury i z powrotem poszła w życie, Oskar Maria Graf stworzył typ woźnicy Henschla, o wiele bardziej realistyczny, niż otoczona symbolami i mistyką postać Hauptmanna.

Powieść Grafa ukazała się w nowym wydaniu w Londynie. Stare wydania zostało spalone w Trzeciej Rzeszy z rozkazu Goebbelsa. Za to wypolerowane, fryzowane powieści Ganghofera o chłopach i drobnomieszczaństwie drukowane tam są w coraz to nowych wydaniach. To, co jest na prawdę przyrodzone, co żyje i kieruje nami, jest tam zakazane, wyklęte i wyzute z wszelkich praw.

Po tym, jak Graf stworzył „Sittinger" ukazuje się jego „Bolwieser" jako patriarcha rodziny drobnych mieszczan, który przechodzą przez życie, trzymając się kurczowo swych posad i oszczędności, którzy wbrew woli dają się zepchnąć z wydeptanego toru, którzy pragną spokoju, a nie potrafią sami pokierować swym losem, kiedy stają wobec jakichś przeszkód. Ze zdumiewającym poczuciem rzeczywistości Graf odświeżył te postacie, które spotykał w życiu ,badał, chciał przeniknąć; wykazał tu cierpliwość myśliwego, który długo i z wielką miłością bada dzicz, zanim przystąpi do strzału.

Wydaje się, że Graf dokonał głównej części swego dzieła pisarskiego, zanim jeszcze przystąpił do pisania. Graf zna swych ludzi na wylot, a dzięki niezwykłemu talentowi opowiadania, dzięki doskonałej znajomości środowiska i wszystkich przyzwyczajeń tych osób, które ukazują się w książce, sprawozdanie oddziaływa tak, jak gdyby autor opowiadał nam tragiczną historię dobrych znajomych. Wiele Graf daje z siebie samego, wrażenie więc jest tak silne, że czytelnik w odtworzonych postaciach odnajduje siebie. Tego rodzaju powieściopisarze rzadko występują w literaturze niemieckiej, brak ich nawet w literaturze proletariackiej, która przecież nie da się pomyśleć bez tej intymnej zażyłości z istotą ludzką.

Nie tylko dlatego, że Graf przypomina najlepszych Francuzów nie tylko dlatego, że wykazuje ogromny talent opowiadania, nie tylko dlatego, że w swojej książce roztacza przed nami życie w całej swej pełni, ale dlatego, że tworzy tu przekrój przez określoną klasę społeczną i bezstronnie acz krytycznie podkreśla wszystkie istotne i charakterystyczne dla nie rysy. Wciąż dowiadujemy się czegoś od znającego na wskroś życie Grafa, którego coś popycha do podzielenia się tym, co zaobserwował.

Książki Grafa tworzą atmosferę, Graf opisuje Bolwiesera czy Sittingera wraz z całym otaczającym go światem i żaden z nich nie może być oddzielony od tego środowiska, jeżeli nie ma przestać być sobą, jeżeli nie ma przejść przez pewien rozwój i przemiany. Nie charakter Bolwiesera czy Sittingera powoduje przemiany, lecz stosunki, którymi są otoczeni, stanowią o ich postępowaniu. Godne jest podziwu, jak powieści Grafa stają się i są krytyką społeczeństwa, chociaż autor nie szepcze nam przekonywującego na ucho swych poglądów. Graf doprowadził do wysokiego poziomu tę rzadką u nas formę krytycznej powieści społecznej i stał sie mistrzem, wybitnym powieściopisarzem niemieckim.

KURT KESTEN

Po dwudziestu latach...

„Olivia", powieść Jakóba Wassermanna, napisana w 1916, ukazała się w 1937.

Bo wszyscy jesteśmy z podobnej materii i z ducha podobnego. Tym, którzy o Bogu zapominając z haniebnym okrucieństwem kłam temu zadają, nie będzie odpuszczone.

(Tomasz Mann w swoim słowie wstępnym do biografii Wassermanna, opracowanej przez Martę Karlweis).

Tak bogate było to życie, zgasłe w noc sylwestrową 1933 roku, że teraz jeszcze użycza nam swych darów. Publikacja spuścizny literackiej Jakóba Wassermanna wciąż trwa. Jako pierwsze z tych pozostawionych dzieł ukazuje się „Olivia". Zapowiadane są też inne dzieła, a więc powieść autobiograficzna. „Engelhart Ratgeber" i fragment powieści „Wege und Schieksale der Lätizia Walmschaffe".

„Olivia" powstała w czasie wojny w 1916 po „Gänsemännchen", a przed „Christian Wahnschaffe". Wassermann sam był — jak się dowiadujemy z biografii jego towarzyszki życiowej, Marty Karlweis — niezadowolony z tego dzieła; chciał je przerobić i — zamiar ten nie dał sie przeprowadzić — prawdopodobnie dlatego nie ukazało się ono wtedy lecz dopiero teraz po dwudziestu latach.

W ciągu tych dwóch dziesiątków lat świat zmienił się w nieprawdopodobny sposób. Nikt nie przewidział tego rozwoju tak jak Wassermann sam, który już po kilku miesiącach trwania wojny wysunął kwestię przyszłości. 25 października 1914 pisał, że „widzi ją w czarnych kolorach", a w „Etzel Andergast" mówi o tym, że w ciągu lat czternastu (1914 — 1928), świat się tak zmienił, iż drogą porównania ledwie można jasno tę przemianę przedstawić.

Na takie dzieło jak „Olivia" patrzy się więc dziś innymi oczyma, niż wtedy gdy powstało. Traktować się je dziś musi jako ogniwo w łańcuchu rozwoju poety od chwili gdy opowiadał tylko i romantyzował, aż do ostatnich dzieł, w których okazał się krytykiem socjologicznym społeczeństwa; wielkim bojownikiem sprawiedliwości.

Gdy się w ten sposób podchodzi do sprawy, powieść (która poprzednio jako nowela zaopatrzona była podtytułem „Albo niewidoczna lampa") zyskuje wiele na znaczeniu. Wassermann przeciwstawia sobie dwie centralne postacie: Olivię, młodą dziewczynę, wierzącą, gotową do ofiar i pełną optymizmu z jednej strony, z drugiej — radcę dworu Lamma, sceptyka, malkontenta i pesymistę. Wzajemny stosunek obojga — absolutnie zresztą pozbawiony erotyzmu—prowadzi dzięki przeżyciom na wojnie (Olivia zostaje siostrą miłosierdzia) do udoskonalenia się Lamma.

Walka dwóch dusz, typowa dla późniejszych powieści Wassermanna, została tu po raz pierwszy, tak jasno opracowana przez autora. „Nie znosiła zatracania się w nienawiści do świata" — powiedziane jest o Olivii. To, pozytywne jeszcze nie odrzucenie nienawiści, zwycięża w aktywnej rozgrywce sił i zdoła w końcu pokonać negatywny pesymizm Lamma.

W „Olivii" znalazły też odbicie własne przeżycia wojenne Wassermanna: pełne grozy opisy atmosfery w lazarecie, budzące odrazę opowiadania rannych o tym, co przeszli. Na to, że Wassermann był poetę — nie trzeba dzić dowodu; gdyby jednak nie napisał nic innego oprócz tych krwawych scen, to i tak byłby poetą!

Podtytułowi: „Niewidoczna lampa" przypisuje Marta Karlweis największe bodaj znaczenie. „Jest to idea światłości" — pisze ona — do której Wassermann wciąż będzie dążył, ulegając budzącemu się wciąż na nowo pędowi do poznania". Droga Wassermanna aż do osiągniętych przezeń wyżyn, na której „Olivia" jest tylko etapem, wskazuje na słuszność tego twierdzenia.

FLAVIUS.

STER MŁODYCH

„DWA SĄ SPOSOBY ROZSTRZYGANIA SPORÓW: JEDEN PRZEZ ROZUM, DRUGI PRZEZ SIŁĘ...
PIERWSZY LUDZKIM JEST, DRUGI ZWIERZĘCYM..."
(„Mirtala" — Eliza Orzeszkowa).

MIGAWKI

O Żydach wolno wszystko...

O Żydach wszystko można mówić, pisać, kłamać. Nie tylko nikt nie zabroni, ale wszyscy w to uwierzą. Najniewinniejsza wzmianka o jakimś wydarzeniu z życia nie-Żydów zaopatrzona jest w cudzysłowy, w pytajniki, z nawiasami i w dodatek: „wiadomość nie została dotąd potwierdzona". Gdyby — na skutek omyłki zecera — jakaś wiadomość o „aryjczyku" została fałszywie podana, z reguły muszą się nazajutrz ukazać sprostowania, wyjaśnienia, słowa ubolewania. Jeśliby jednak ktoś dziś puścił kaczkę, że na Marsie odkryto wielkie składy amunicyjne przy tajnej organizacji hitlerowców założonej przez żydowskich uciekinierów z Niemiec — cała nie-żydowska prasa doniosłaby nazajutrz o tej niebywałej sensacji. Niech ktoś spróbuje o Żydach wymyśleć jakąś fałszywą sensację — nie znajdzie się nikt ktoby ją sprostował, wycofał. A fałsz pójdzie w lud i rozniesie kłamstwo o Żydach sto-tysiąckrotnie. No, bo przecież o Żydach!... Preparuje się te kłamstwa bardzo łatwo. Proszę:

W Nr. 320 „Wieczoru Warszawskiego" przeczytaliśmy wzmiankę o tym, że w Anglii ustawa zabrania Żydom otrzymywania stopni oficerskich. Szukaliśmy potwierdzenia tej wiadomości w prasie. Znaleźliśmy tylko wiadomości o defiladach przed majorem Kohenem, o awansach kpt. Samuela, o depeszach Jerzego VI do oficerów żydowskich, o przemówieniu, w którym zaznaczono, że „Anglia wolna jest od złych brunatnych ideologii burzących pokój świata". Wtedy dopiero zrozumieliśmy, że żaden z dotychczasowych angielskich ministrów wojny nie zdobył się na wspaniały krok, Żyda, Min. Hore-Belisha. Dopiero on zabronił sobie samemu dostępu do oznak oficerskich! On, minister, ma prawo być zwykłym szeregowcem tylko, i ma obowiązek salutować różnych *kaprali*. To przecież takie proste.

Czy „Wieczór Warsz." został źle poinformowany? Nie. Ale o Żydach przecież wszystko wolno...

Drugi przykład:

Z Tarnowa doniesiono, że u jednej z żydowskich uczenic szkoły żeńskiej znaleziono kartkę z różnymi napisami obrażającymi Naród Polski oraz chrześcijan. Już sam tekst („Należy ściąć wszystkim chrześcijanom głowy", „Wszyscy Polacy niech się stąd wyniosą") mówiło o prowokacji.

Nauczycielka wezwała uczenicę i zażądała wyjaśnień. Uczenica oświadczyła, „że o niczym nie wie i w ogóle jest wykluczone, by którakolwiek z żydowskich uczenic to uczyniła, gdyż biblia nakazuje wszystkich ludzi jednakowo miłować i szanować". Następnie „zażądała, by zebrano wszystkie kajety w klasie i sprawdzono, gdzie brak tej kartki. Nauczycielka natychmiast zarządziła zebranie kajetów i tu okazało się, że kartka ta pochodzi z kajetu, należącego do uczenicy ze znanego antysemickiego domu. Świadczył o tym także charakter pisma. Wrażenie tego odkrycia było w szkole silne. Nauczycielka zawołała wtedy do siebie antysemitkę uczenicę i ostro napiętnowała jej występny uczynek. Uczenica się rozpłakała, i oświadczyła, że ona nie jest winna, gdyż matka kazała jej tak postąpić wobec najlepszej uczenicy-Żydówki w klasie."

Cóż łatwiejszego prasie antysemickiej, jak podać tylko wiadomość o tym, że u Żydówki znaleziono wypisane na kartkę zeszytu hasła antypolskie? I koniec! Resztę roboty wykonają inni — kutemu powołani.

R. Baum.

500-LECIE SZTUKI DRUKARSKIEJ.

O Janie Gutenbergu wiemy, że urodził się w Moguncji, ale nigdzie nie znajdujemy dokładnej daty jego urodzenia. Podobno miał się urodzić „około" roku 1400. Jak długo genialna myśl kiełkowała w jego umyśle, zanim doznała urzeczywistnienia, również nie wiadomo. Stwierdzono tylko, że pierwsze próby drukarskie zostały przedsięwzięte w latach 1436—1438, a więc dokładnie przed 500 laty.

Gutenberg musiał wiele nacierpieć się od swoich wierzycieli—lichwiarzy, którzy ustawicznie zatruwali mu życie. Przez kilka lat musiał nawet przed nimi ukrywać się wiodąc żywot tułacza. Dopiero w roku 1458 zawiera umowę z dr. Konradem Humery, który finansuje jego wynalazek i dopomaga do założenia własnej drukarni.

Odtąd sława Gutenberga rozszerza się szybko. W roku 1465 arcybiskup Adolf Nassau zaprasza go na swój dwór, gdzie też genialny wynalazca dokonał żywota w spokoju i beztrosce.

„Pamiętaj żeś Polak, mieszkaniec Europy!"

Ludzką prawdę przypomniał profesor Michałowicz młodzieży akademickiej „z pod znaku pałki" na posiedzeniu Rady Oświecenia Publicznego. Zdawałoby się, że tak powszechnie znaną, wiadomą i niewątpliwą. A jednak jakże często zdarza się, że studenci owi nie tylko zapominają, ale wyraźnie ją negują. *„Pamiętaj żeś Polka, mieszkaniec Europy!"* — słowa te polecił uwidocznić na bramach wyższych uczelni. Należałoby może stemplować je na indeksach i legitymacjach uniwersyteckich zamiast wskazówek o zajmowaniu tych, czy innych miejsc. Profesor Michałowicz oświetlił bowiem w wyżej przytoczonym zdaniu drogę, którą powinien kroczyć każdy członek narodu cywilizowanego na obu półkulach. Jest to droga dobrze znana, akcentowana przez demokrację. Wiele razy i nie trzeba jej ponownie charakteryzować. Dlaczego jednak każdy uczciwie myślący człowiek wybrał właśnie tę, a nie inną drogę? Dlaczego wreszcie szczególnie Polakowi, jeżeli chce zasługiwać na to miano, nie wolno z niej zbaczać?

Spróbujmy odpowiedzieć na pierwsze pytanie z punktu widzenia historii cywilizacji. Ludzkość ma już tę tragiczną właściwość, że w swym stałym postępie cywilizacji i kultury robiła dotychczas zawsze dwa kroki naprzód i jeden w tył. Ciągle i niezmiennie. Z barbarzyńskiej zamierzchłej przeszłości wyłoniła się wielka starożytność Żydów, Greków i Rzymian. Później nastąpiło ciemne średniowiecze. Wreszcie stopniowe odrodzenie nowożytne. Niebywały rozwój cywilizacji w wieku dziewiętnastym i na początku dwudziestego zdaje się być punktem kulminacyjnym czasów nowożytnych. Obecnie wygląda na to, że rozpoczęliśmy właśnie znowu smutny odwrót. Kilka wiadomości z gazety, przebieg wykładu na niektórych uniwersytetach, spacer po niektórych ulicach stolic pewnych państw, kilka słów słyszanych przez głośnik radiowy, odgłos rechotania karabinu maszynowego na Dalekim Wschodzie lub Bliskim Zachodzie, terror na obszarach mandatowych — mogą nas utwierdzić w tym przekonaniu. Ale do wręcz odmiennego wniosku można przyjść jeżeli się przeczyta inne wiadomości z innych ulicznych gazet innych stolic, przesunie gałkę aparatu radiowego. Zdawać się wtedy będzie, że kroczymy w siedmiomilowych butach naprzód, że pędzimy w przyszłość samolotem rakietowym! Zarówno pierwsze, jak i drugie spostrzeżenie nie będzie fałszywe. Jedno i drugie dzieje się i wyciska swe piętno na cywilizacji ogólnoludzkiej. Obraz przyszłości zależny jest od tego, które ostatecznie zwycięży, a więc którymi z tych dwóch dróg ludzkość podąży. Możemy odwlec na dłuższy przebieg czasu, a nawet przeciwstawić się całkowicie każdemu z tych dwóch prądów. Historia dała nam jednak dostateczną ilość przykładów, świadczących o tym, że każdemu upadkowi, wspomnianemu wyżej krokowi w tył, każdemu „średniowieczu" towarzyszył egocentryzm i imperializm państw, szowinizm idee „narodowe" w cudzysłowie, przemoc, ucisk i pałka pod wszystkimi jej postaciami, jakie tylko gorsze jednostki i zespoły plemienia ludzkiego zdołały wymyślić dla wyzysku i zgnębienia szlachetniejszych, lecz słabszych przeciwników. Jasnym więc staje się, któremu z wspomnianych prądów należy się przeciwstawić, a do którego rozwoju się przyczyniać. Tę prawdę pragnął — naszym zdaniem — profesor Michałowicz zawrzeć w słowach: „Pamiętaj, żeś mieszkaniec Europy". Chciał wezwać do wzięcia udziału w tworzeniu wielkiej przyszłości i do całkowitego powstrzymania walącego się na nas „średniowiecza". Zaakcentował, że jest to obowiązkiem każdego europejczyka, pragnącego zaliczyć się do zastępów ludzi kulturalnych.

Zastanówmy się wreszcie nad drugim pytaniem, dotyczącym właściwie pierwszej części zdania uczonego demokraty polskiego. Odpowiedzieć nie trudno. Jest obecnie niestety niewiele narodów kulturalnych i mających dość siły, by przeciwstawić się fermentowi wstecznictwa. Do kotła reakcji wpaść bardzo łatwo. Jeżeli więc zdrowo myślący i narodowy w prawdziwym tego słowa znaczeniu Polak pragnie, by naród jego zaliczono do cywilizowanych i stojących na wysokim poziomie kultury społeczeństw, jeżeli chce, by naród jego poważano na równi z innymi wielkimi plemionami ludzkimi, — niech zarzuci i wyklnie wszelkie objawy przeciwne postępowi i demokracji. Niech nie uciska, nie gnębi, nie używa pałki i kastetu, niech nie rzuca śmieci na zwłoki Żyda patrioty, gdyż — jak powiedział prof. Michałowicz — śmiecie te „padały nie na zwłoki Żyda, ale na dusze Polaków" Dodajmy, że padały na stanowisko i dobre imię Polski wśród społeczeństw świata. Powinni więc Polacy — wyraził naszym zdaniem profesor-demokrata — pamiętać, że są członkami narodu polskiego i że każdy niecny czyn popełniony przez jednego Polaka rzuca cień na całą polską kulturę i że każda niegodziwość mści się stokrotnie i pozostaje niezatarta na wieki.

Żydowska młodzież akademicka jest wdzięczna profesorowi wraz z całym społeczeństwem żydowskim za godną i szlachetną obronę kardynalnych ludzkich, obywatelskich i akademickich praw.

SAMUEL MOZES

Co czytać?

Marcin Andersen Nexö: „Pelle zwycięzca". Powieść, 1937, W-wa, wyd. „Płomień".

Znakomity pisarz duński, autor głośnej powieści, która osiągnęła sukces światowy „Pelle Zwycięzca", eposu z życia ludu pracującego wsi i miast, daje nam w pierwszej księdze „Dzieciństwo" życie chłopca Pellego, syna ciemnego analfabety Lassego, zmuszonego wywędrować ze Szwecji za kawałkiem chleba do Danii na wyspę Bornholm. Obydwaj jak niewolnicy, stary ojciec Lasse i małoletni „późny owoc miłości" Pelle zmuszeni są zaprzedać się w ciężką pracę we dworze, żyć w wielkiej biedzie, utrapieniach, poniewierce i znosić upokorzenia. Obydwaj marzą o ucieczce z tej Sodomy i Gomory. Pelle zaczyna uczęszczać do szkoły, i łyknąwszy odrobinę oświaty, idzie w świat — jak „Antek" Bol. Prusa, a stary ojciec pozostaje w jarzmie — bo dokądże pójdzie?

Powieść „Pelle Zwycięzca" jest czarującym opisem drobiazgowym, pełnym prawdy życia i *przedziwnego zespolenia się autora z życiem ludu wiejskiego*, z życiem fornali najmitów, rybaków nadmorskich i dzieci nędzy wiejskiej tych okropnych stosunków, jakie były w Danii, a *jakie są gdzieindziej jeszcze*... To dziecko Pelle, o cudownej duszy, wrażliwej i szlachetnej i ten tata Lasse są niezapomniani! Mamy tu w powieści barwny, pełen przygód i przeżyć niesamowitych obraz jakby współczesnego niewolnictwa, spowodowanego egoizmem i ciemnotą, *z którego tylko światło wyzwala;* tak wyzwala się Pelle, swą wolą, dążąc wzwyż *ku szczytom człowieczeństwa.*

Serce wielkiego pisarza duńskiego, szczerozłote serce bolejącego i oburzającego się na krzywdę twórcy — towarzyszy w tej arcydzielnej powieści wszystkim krokom Pellego, jego rozwojowi, walkom, bólom, radościom, a przedziwny humor, którym ubarwia Nexö wiele przygód Pellego, i jego ojca Lassego — utrwala na zawsze tę książkę w duszy czytelnika. Wspaniałe, realistyczne opisy życia dworu, jego egoistycznych i degenerujących się posiadaczy, następnie życie chłopców fornali dworskich, rybaków nadmorskich, wiejskiego życia szkolnego wraz *z przedziwną psychologią ludu i dzieci,* — uczyniły z „Pellego Zwycięzcy" *jedno z arcydzieł literatury.*

Warto zwrócić uwagę na sposób oddawania mowy ludu — jaki jest prosty, wnikliwy, prawdziwy! I jak te dusze, przywalone brzmieniem ponadsilnym pracy i zaharowania się — czują! Jak delikatnie i szlachetnie czują! Tak czuje — lud. Lud, który pragnie tylko — *sprawiedliwości dla siebie:* wolnego oddechu, spokojnej pracy i światła. Książka „Pelle Zwycięzca" — to *idealna książka dla ludu naszego, dla naszej młodzieży wiejskiej, dla naszego nauczycielstwa ludowego, dla wszystkich, komu losy i przyszłość naszej wsi nie jest obojętną.* Winna też znaleźć się w każdej czytelni wiejskiej. W Danii książka osiągnęła wielką ilość wydań; dość powiedzieć, że w jubileuszowym ludowym tanim wydaniu wydano ją w 90.000 egzemplarzy; przełożono zaś na 20 języków. Krytyka duńska zwie „Pellego Zwycięzcą" „Iliadą i Odyseją świata pracy", „książka mądrości życia". — *Książka od której nie sposób oderwać się i do której* wciąż się wraca!

B. Z.

W następnym numerze „STERU MŁODYCH" omówimy korespondencję naszych czytelników.

Z WĘDRÓWKI PO MIASTECZKACH MAŁOPOLSKI.

„Mogiła" nieznanego żołnierza — kultury...

Dużo miast i miasteczek zwiedziłem w związku z moimi prelekcjami, wiele widziałem osobliwości... niejedno mnie zdziwiło i zadziwiło, ale żadne z nich nie pozostawiło we mnie tyle wrażeń, nie zainteresowało tak dalece, jak tysiąc dusz liczący — Wojniłów.

Miasteczko to pod względem technicznym — jest jednym żywym pomnikiem kultury XIX wieku. Są tam i szerokie bramy zajezdne i karczmy. Nie ma światła elektrycznego i wodociągów. Drewniane mostki tak prymitywne, jakby z okresu dyluwium pochodziły — łączą poprzez otwarte cuchnące fosy domostwa ze szosą. Małe zgarbione domki i chaty patrzą pokornie na dwuch względnie trzech, potężnych" jednopiętrowych sąsiadów.

Rynek, jak zresztą w wielu galicyjskich miasteczkach, zarasta trawą. To wszystko właściwie nie byłoby dziwnym, gdyby nie rażąca dysproporcja między kulturą mterialną, a duchową, gdyby nie wprost fantastyczne ubóstwo i prymitywizm w zakresie warunków życiowych, a z drugiej strony nieprzeciętny poziom intelektualny mieszkańców szczególnie młodych obywateli...

W Wojniłowie jest dużo studiującej młodzieży, a nawet absolwentów wyższych uczelni. Gdzież oni są? Czym się oni zajmują? Czy mają możność wykonywania swego zawodu? To były pytania, które mi się nasunęły, gdy tak człapałem po drodze upstrzonej domkami, podobnymi do dziecinnych paierowych niezgrabną ręką wykonanych.

Czy po tych lepiankach mogli sobie pootwierać gabinety lekarskie, kancelarie adwokackie i warsztaty inżynieryjne...

Zbliżyłem się do grupki młodzieży, która stała na mostku.

Tu się sprawdza zasada: homo homini lupus est — głośno wypowiedział jeden z małomiasteczkowych młodzieńców. Nie inaczej ubrany i wyglądający, niż reszta. Nosił wytarte, połatane spodnie, cyklistówkę i prowincjonalny smutek w twarzy.

— Jednak ten Rzymowski to człowiek charakteru, nie dał się wziąć na lep haseł faszystowskich i został redaktorem „Dziennika Ludowego".

Do uszu doleciały mi później takie nazwiska, jak Szopenhauer, Hegel — donośnie wypowiedziane. Prawdopodobnie moja osoba wywołała w nich ambicję „produkowania się" — odniosłem wrażenie, gdy widziałem żywo gestykulujących i wpatrujących się we mnie.

— Chodź Milek, pożyczysz mi „Karytykę czystego sądzenia".

— Musisz najpierw mi zwrócić „Fausta".

— Ja cię proszę, daj mi „Kanta", bo ja raniutko wstaję krowę wypędzić... i chcę coś mieć mieć do czytania...

— To chodź ze mną.

Taka dosłownie rozmowa doszła moich uszu. Grupka się rozeszła, pozostał jeszcze na mostku: ten Milek i kolega, który chciał „Die Kritik der reinen Vernunft" pożyczyć...

Wojniłow ma piętnastu maturzystów i czterech absolwentów wyższych uczelni. Maturzyści pomagają rodzicom w interwencjach skarbowych..., wypędzają krowy na pastwisko, a w wolnych chwilach (te chwile trwają cały dzień) czytają i zaczął wyliczać, co czytają. Zdumiałem: Schiller, Goethe, Spinoza, Kant, Heine, Spencer — postaci które znane są szaremu czytelnikowi z danych o autodafe względnie z ataków prasy hitlerowskiej — to ich codzienna lektura.

Jeśli chodzi o absolwentów, to im się nieco lepiej wiedzie. Jeden z nich lekarz pomaga ojcu we fabrykacji wody sodowej. Drugi — aplikant adwokacki w pobliskim Kałuszu zarabia lekcjami 30 zł., podczas gdy jego kolega — Polak jest już sekretarzem starostwa... Pozostali absolwenci równie sobie radzą...

Zaledwie kilka godzin jazdy dzieli Wojniłow od stolicy, ale jaka szalona różnica w kryteriach..., jaka olbrzymia zmiana w wymaganiach... inteligencji szczególnie żydowskiej.

Przypomniałem sobie artykuł jakiegoś inżyniera londyńskiego, który wykazywał w „Times" jakiej zbrodni świat się dopuszcza marnując tyle energii wodnej...

Nie mogę sobie natomiast przypomnieć, ażeby ktoś poruszał sprawę marnowania energii ludzkiej...

A może nie marnuje swojej energii, może, jak i ich koledzy w Warszawie bronią demokracji, godności, — oni w zapadłej prowincji, w miasteczkach podobnych do cmentarzysk... przechowują myśli Goethego i Schopenhauera i kiedyś ich uzna się za nieznanego żołnierza kultury...

To nic, że maturzysta wypędza krowę na pastwisko, dopóki trzyma pod pachą „die Kritik der reinen Vernunft" — jest on jednym z tych, którzy stanowić będą „mogiłę" — nieznanego żołnierza kultury...

O. R. Eiss.

HERE ENGLISH SPOKEN

Lekcja VIII.

EIGHTH LESSON
(Ejts lesn)

Repetition

(repetYszn)
POWTÓRZENIE

Aby z łatwością zapamiętać nazwy miesięcy (oraz ilość dni w każdym z nich) nauczmy się na pamięć krótkiego wierszyka, który nazywa się w języku angielskim DOGGEREL *(dOggerel)* co w przekładzie polskim oznacza „wierszydło" (wiersz niepoetycki).

Thirty days have *September,*
April, June, and *November;*
To *January* and another day,
Also to *August, March,* and *May,*
July, October, and *December*
All these have thirty-one, remember! —
To *February* twenty-eight assign,
And in Leap Year twenty-nine.

VOCABULARY

To *(tu)* = *do;* and *(end)* = i, oraz; another *(enAdzer)* = inny, drugi; also *(Olsou)* = także, też nadto; all *(oł)* = cały, zupełnie, wszystko; these *(dziz)* = te, ci, jest to liczba mnoga od zaimka this *(dzys)* = ten, ta, to; remember! *(rymEmber)* = pamiętaj! (pamiętajcie!); to assign *(tu esAjn)* = przyznać, oznaczyć, wskazać; in *(yn)* = *w;* LEAP YEAR *(Lip jir)* = rok przestępny (dosłownie: „rok skaczący").

———

Poprzednia lekcja angielska (z kolei VII) zawierała odpowiedzi na pełne godziny. Mówiliśmy więc: *It is one o'clock, it is two o'clock, it is three o'clock etc.*

Teraz poznamy także inne oznaczenie czasu (nie pełne). Wiemy, że „dwunasta godzina" jest *twelve o'clock; „pół"* jest po angielsku HALF *(haf);* PAST *(past)* oznacza „miniony" albo w swobodnym przekładzie polskim „PO".

Na *„w pół do pierwszej"* powiada Anglik:

IT IS HALF PAST TWELVE (ale bez *o'clock*, które dodaje się wyłącznie do pełnych godzin), dosłownie: Jest to połowa po dwunastej.

A więc na „w pół do drugiej" mówimy „HALF PAST ONE" (dosłownie: „połowa po pierwszej"); na „w pół do trzeciej" mówimy „HALF PAST TWO" i t. d.

Podobnie budujemy zdanie: „Jest kwadrans na pierwszą". *It is a quarter past twelve* (znów bez *„o'clock"*) „quarter" *(kuOrter)* = kwadrans.

Mówimy więc:

It is a quarter past one = Jest kwadrans na drugą.

It is a quarter past two = Jest kwadrans na trzecią.

It is a quarter past three = Jest kwadrans na czwartą i t. d.

Do „pół" mówimy zawsze *PAST:*

It is a quarter PAST one = Jest kwadrans na drugą.

It is half PAST one — Jest w pół do drugiej.

Po „pół" odczytujemy zegar „do" — TO *(tu).*

Anglik nie może więc powiedzieć, tak jak my „TRZY KWADRANSE NA TRZECIĄ", musi mówić „KWADRANS DO TRZECIEJ" czyli *a quarter to three* (bez „o'clock").

Dla przykładu:

It is a quarter to four = Jest trzy kwadranse na czwartą.

It is a quarter to five = Jest trzy kwadranse na piątą.

It is a quarter to six — Jest trzy kwadranse na szóstą i t. d.

O godzinach z minutami pomówimy w następnej lekcji.

Redaktor „Steru Młodych" N. JACOBI

Adres dla korespondencji: „Ster Młodych", W-wa I, ul. Chłodna 17.

Rustan

Honory, honoraria, personalia...

(Czy Akademia Literatury jest potrzebna?)

Ostatnie plenarne zebranie Polskiej Akademii Literatury w swym rocznym sprawozdaniu podaje do publicznej wiadomości pozycje prac i działalności za cały rok.

Przy tej sposobności można doskonale zorientować się w zasługach i wynikach pracy P. A. L., której istnienie, od początku powstania kwestionowane i ostro krytykowane, jest nadal przedmiotem utyskiwań, niezadowoleń, a przede wszystkim ciętej satyry.

Najważniejsze pozycje ostatniego roku to prelekcje i mowy „miane" z okazji okolicznościowych uroczystości, pomoc w urządzeniu Festiwalu Sztuki, protektorat nad wydawnictwami zbiorowymi, konkurs polonistyczny wśród uczniów szkół średnich, „nagroda młodych" oraz... wawrzyny akademickie.

Pierwsza pozycja, czysto reprezentacyjna, nie ma żadnego charakteru twórczej pracy, toteż nie zasługuje wcale na zaliczenie jej w poczet „zasług" P. A. L.

O wartości Festiwalu Sztuki Warszawa wyrobiła sobie już swoją opinię, — dodajemy: wcale nie pozytywną — zresztą odcinek, na którym Akademia współpracowała z Komitetem Organizacyjnym, obejmował wyłącznie urządzenie Wystawy i cyklu odczytów. Może i te imprezy — to coś pożytecznego i wartościowego — ale jako jedna z niewielu pozycji całej działalności instytucji — wysiłek zbyt skromny, za mało twórczy i trwały, aby warto go było sumować w ogólnym bilansie.

Wydawnictwa zbiorowe (np. Prusa, Orzeszkowej) — to tylko auspicja, protektorat użyczenie firmy, wydawnictwu, które własnym sumptem i własnymi siłami podejmuje pożyteczną inicjatywę. Praca P. A. L. na tym polu to tylko protekcyjne klepanie po plecach, ale w żadnym wypadku nie możemy przypisać Akademii jakiejkolwiek zasługi.

Konkursy polonisytczne dla uczniów szkół średnich urządzane z inicjatywy Akademii, znów nasuwają refleksje, czy istotnie tak dobrze jest ze stanem piśmiennictwa w Polsce, iż najważniejszą sprawą pozostała tylko troska o polonistykę w szkołach średnich. Można by się pochlubić tą inicjatywą tylko wtedy, gdyby Akademia równocześnie zajmowała się istotnymi, naczelnymi zadaniami, jakich — na razie bez echa — społeczeństwo oczekuje w tej instytucji.

„Nagroda Młodych"... hm, owszem, to jej istotne zadanie popierać młode talenty, wyławiać nieznanych pisarzy, ułatwiać kontakt z społeczeństwem. Ale i tu daleko do ideału, bo wszyscy wiemy, jakie względy — pozaliterackie — wchodzą w grę przy decydowaniu o nagrodzie.

Pozostały osławione wawrzyny akademickie, których co przyzwoitszy i jako tako niezależny pisarz nie przyjmuje i które nie są wcale przydzielane istotnym talentom pisarskim. I tak np. wśród nagrodzonych srebrnym wawrzynem szersze warstwy społeczeństwa znają tylko dwa nazwiska jakże wymowne — ...Wiecha i Musioła (sic!).

I to wszystko. O istotnej działalności daremnie oczekiwalibyśmy jakichś biuletynów. Panowie emeryci z P. A. L. sami przestali tworzyć, bo oszołomiły ich laury, honory, honoraria i personalia. Koniunktura jest dziś taka, że co pewien czas następują wybory nowych akademików. Na miejsce Rzymowskiego (niesłusznie wybranego, ale i niesłusznie utrąconego) wybrano Makuszyńskiego („wyrównać na prawo"). Rostworowski, warchoł, który teroryzował skutecznie całą Akademię, ustąpił, na jego miejsce wybrano (i słusznie) Jana Lorentowicza, który idealnie nadaje się do tej i każdej Akademii. Umarł Bolesław Leśmian i znów miejsce opróżnione stanie się przedmiotem targów, intryg, politykowania i protegowania nowych kandydatów. Jednym słowem, ruch w interesie, więc panowie akademicy mają głowy ustawicznie zaprzątnięte polityką personalną i niepersonalną, która na drugi plan usuwa zasadnicze momenty działalności instytucji i akademików.

A przecież program pracy tak pięknie i tak troskliwie ułożył już Żeromski w swym słynnym „Projekcie Akademii Literatury Polskiej", więc główny manager P. A. L., J. K. Bandrowski, ma ułatwione zadanie i bez zbytniego wysiłku mógłby tylko troskliwie realizować wielkie myśli Żeromskiego, który na czele zadań Akademii stawia „sprawę czystości i piękności języka".

Co na tym polu uczyniono? Czy zatroskano się o ułożenie słownika, którego współczesny język polski nie posiada? Czy zrobiono coś dla oczyszczenia języka z chwastów, różnych barbaryzmów, których po 19 latach dotychczas nie wypleniono? Czy roztoczono opiekę nad poziomem językowym przekładów z literatur obcych? A przecież tyle jest w tej dziedzinie do odrobienia i tylko PENclub w własnym, ograniczonym zakresie czuwa nad czystością języka przekładów. Poza tym kto — jak nie PAL — powinien zorganizować racjonalną politykę przyswajania językowi polskiemu obcych dzieł literackich. Rynki księgarskie zalewają różne bezwartościowe tandety, podczas gdy wielu znamienitych pisarzy obcych, dawnych i współczesnych, nie doczekało się do dnia dzisiejszego przekładu.

Drugi postulat Żeromskiego to „sprawa rozszerzenia kultury literackiej na warstwy szerokie inteligencji i ludu". Czy ta pozycja figuruje w jakiejkolwiek formie w sprawozdaniu Akademii? Niczym nie legitymuje się P. A. L. na tym polu, a przez to samo automatycznie dyskwalifikuje się w oczach tych „szerokich warstw", które nic od niej nie otrzymały. Ani popularnych wydawnictw, ani organizacji czytelnictwa, ani propagandy książki, ani pomocy bibliotecznej, ani poparcia dla pisarzy ludowych. Ani też opieki nad twórczością mniejszości narodowych. — Trzeci postulat to „sprawa instancji i obrony twórczości wolnej". Zagadnienie bardzo aktualne, dające dziś szerokie możliwości dla interwencji i inicjatywy. W sprawie konfiskat utworów literackich daremnie pokrzywdzeni pisarze upominaliby się o interwencję Akademii. Dolą aresztowanych literatów wileńskich nie zainteresowała się P. A. L. System donosicielstwa i szantażu, uprawiany przez pewien odłam prasy wobec niezależnych pisarzy, wywołał wreszcie reakcję wśród władz Związku Dziennikarzy, ale Akademia takimi błahostkami nie może zajmować się, bo musi rozdawać wawrzyny. Jeśli się gorliwość, energię i czas zużywa na takie wyczyny, to trudno żądać od tej kompletnie zdepopularyzowanej i — choć tak młodej — już starczej w swym bezproduktywizmie instytucji, aby zajęła się tymi sprawami, które wyłącznie motywowałyby sens jej istnienia.

Na jednym tylko punkcie dzisiejsza Akademia prześcignęła najśmielsze marzenia Żeromskiego: „Pierwszy zarząd zakrzątnie się około znalezienia jakichś funduszów. Będzie on się mieścił... w małej zapewne izdebce"... Otóż nie, bo dysponuje luksusowym pałacem, który — licho wie — poco jest potrzebny tej nic nie robiącej i nie nie tworzącej instytucji.

Inna rzecz, że zgoła inaczej wyobrażał sobie Żeromski utworzenie Akademii. Projektował wolne wybory członków „Zarządu", zmienianych co rok lub co dwa lata („dla uniknięcia majoryzacji kierunków literackich jednych przez drugie oraz z obawy (jakże słusznej. Przypisek mój) przed wytworzeniem się wszelkiego rodzaju magnaterii (Prezes P. A. L. to dziś dożywotni dygnitarz. Przyp. mój), matadoryzmu klik i zespołów. Tak, tak, i w tej dziedzinie tylko wolne wybory demokratyczne usunęłyby „magnaterię" (= elitaryzm mianowanych wybrańców) i „matadoryz klik" (= wawrzyny, wawrzyny!), które z instytucji, zresztą potrzebnej i pożytecznej, stworzyły Akademię niepopularną, niepotrzebną i niepożyteczną.

B. Lewitówna

Maria Kuncewiczowa

LAUREATKA NAGRODY LITERACKIEJ M. WARSZAWY.

Jubileusz czy nagroda literacka stanowią zawsze okazję do podsumowywania i bilansowania dorobku pisarskiego artysty. W wypadku Kuncewiczowej pokusę tę należy zwalczyć, odsunąć, nie dlatego że nie ma czego podsumowywać i bilansować, że artystyczny dorobek tej pisarki jest mały, lecz dlatego, że ciągle się oczekuje, że wie się podskórnie niejako, że Kuncewiczowa nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Że całe jej dotychczasowe pisarstwo (poza „Cudzoziemką" może) to jakby ciągłe przygotowywanie się do czegoś najważniejszego i jedynego, do czegoś co ciągle jeszcze nie zostało wypowiedziane. Jej twórczość uzewnętrzniała się dotąd najczęściej w drobiazgach nieraz cennych i wartościowych, pełnych czaru i poezji, czasem słabych i banalnych, ale stanowiących przecież jakby ciągłe studium, przede wszystkim studium psychologiczne dla najważniejszej, nienapisanej dotąd pozycji literackiej.

I dlatego książki nowej laureatki Warszawy mają w sobie coś z tajemnicy, z intymności literackiego warsztatu, dlatego jej niedomówienia i wielokropki obiecują, zniewalają do szukania, tropienia znajomej aury, zapamiętanej z przed lat, napotkanej w przypadkowo czytanym odcinku jakiejś gazety.

W pisarstwie Kuncewiczowej napozór kameralnym, wytwornym, przesyconym zapachem kwiatów, dojrzewających owoców, muzyki, wieczornym idącym od kazimierzowskiej Wisły powiewem czai się niepokój, najsmutniejsza troska o człowieka i jego ludzkie sprawy, o sens życia i cel bytu. I najistotniejsza ostrożność, niechęć do ferowania wszelkich wyroków. Świat trzeba rozgrzeszyć, przyjąć go takim jakim jest, jak hostię. Nie można i wcale nie trzeba wszystkiego wiedzieć. A ze wszystkich wiedz najważniejszą jest wiedza o miłości. I o śmierci. I jeszcze ból, że najczęściej widzi się, a nie wie.

Kiedy się czyta jej książki, nasuwają się skojarzenia z jakimś szerokoskrzydłym, smutnym, drapieżnym ptakiem, szybującym wysoko i samotnie. Bo samotnictwo, ta najistotniejsza forma samoobrony twórców kultury przed zalewem i podłością i dącego barbarzyństwa, samotnictwo dumne i dobrowolne to najważniejsza, naczelna cecha talentu i osobowości Kuncewiczowej. Uderzano nie tylko w „Cudzoziemce", tym najwspanialszym tragicznym portrecie samotnego człowieka, w książce o niezwykle trafnej konstrukcji formalnej. „Cudzoziemka" — to odrębna wirtuozowska pozycja literacka. Ale i w nowelach (nie są to przecież właściwie nowele) z Kazimierza, nawet w „Dyliżansie warszawskim" odnajdujemy Kuncewiczową - samotniczkę, idącą w zgiełku czy w ciszy o zmroku na poszukiwanie własnej, niepowtarzalnej prawdy. Prawdy, której dotąd nie znalazła.

I jeszcze coś przypomina w Kuncewiczowej drapieżnego ptaka. To orla bystrość obserwacji, trafność spostrzeżeń i określeń, ich bezlitosność. I chociaż to wszystko owiane jest nastrojem, miłością trochę sentymentalną i smutną, to są przecież w tej twórczości stronice prawdziwe i bolesne, do których powraca się wielokrotnie. To przede wszystkim stronice poświęcone dziecku. „Sen podrzutków", opis niemowlęcego „szczęścia", targu niemowląt, nie ma w sobie nic z roztkliwiania się, taniej łatwej łzy. Tragizm podrzuconego dziecka, jego zupełne opuszczenie mimo „idealnych porządków", panujących rzekomo w Zakładzie to straszliwa w swej prawdziwości wizja istniejącego świata. I nie ma na to żadnej rady. Żadnej nadziei, rekompensaty żadnej za ból i gorycz dzieciństwa i opuszczenia. Nic. Obojętny, fałszywie i lukierkowo uśmiechnięty świat. I życie. I jeszcze potem śmierć.

Nie, te felietony drukowane po gazetach i potem zebrane w książce nic w sobie nie mają z felietonu kurierka. To ich najcenniejsza zaleta. I stąd ich obcość dla najszerszej publiczności gazetowej, która snobistycznie chwali się, że zna Kuncewiczową. Nie, czyta ją może, ale jej wcale nie zna.

Jest w tym tomie („Dyliżans warszawski") impresja. Nazywa się „Fason". Impresja ta najlepiej może, choć mimowoli, określa Kuncewiczową z tamtych czasów. Bo dzisiejsza jest już nieco inna. Jaka? Nie wiem. Ale inna. I jeszcze taka jedna nowela z „Dwóch księżyców" — „Malwina". Wypowiada się w niej najpełniej Kuncewiczowa — człowiek sadu, owoców i nocy. To już nie opis cudowny, ale najgłębsze wejście, odczucie i zrozumienie sadu, owocowego kwitnienia i dojrzewania, pełni wspaniałych dojrzewających nocą malin czy jabłek, to sprzęgnięcie się z przyrodą na zawsze, porozumienie tajemne i trudne, za które zapłacić trzeba nawet życiem. I warto. I chociaż nowela ta kończy się nieco banalnie, wcale to nie umniejsza jej czaru, wdzięku i wyjątkowości.

Niepokój i ciągłe doskonalenie i poszukiwanie formy kazało Kuncewiczowej stworzyć powieść mówoną — radiową. I ogarnia żal, że najniepotrzebniej w świecie powieść ta została wydana w książce. Jako praca pionierska w radio miała ta powieść może poważne znaczenie kulturalne. Wydana w książce traci i razi niewspółmiernie małym ładunkiem intelektualnym w stosunku do poprzedniej pozycji, do „Cudzoziemki". Druk odebrał jej czar i urok podsłuchanej tajemniczości, tak dobrze wszystkim znanej i wiadomej, płynącej z głośnika radiowego. Pozostała wprawdzie trafność obserwacji, bardzo dobry miejscami dialog, pozostała kultura literacka, ale to już wszystko prawie... To co było zaletą „powieści mówionej" stało się wadą powieści. I choć autorka jak mogła unikała narzuconego sobie dydaktyzmu, to przecież ta książka najlepiej udowadnia, że Kuncewiczowa nie nadaje się na autorkę „popularną". Że popularność ta okupiona zostaje kosztem artyzmu. Bo powtórzmy tu za autorką: „to jest zupełnie coś innego: słyszeć i rozumieć jednocześnie".

Są oczywiście i w tej książce stronice ładne i wzruszające. Ale powinny były pozostać w naszej pamięci tylko jako słowa usłyszane, a nie odczytane. Trudno zresztą dawać tu analizę tej książki. To odrębna sprawa.

Umówiliśmy się na początku, że nie będzie tu analizy i syntetycznych podsumowań pisarskiego dorobku. Więc raczej tylko o szczegółach. A szczegółem tylko choć nie bagatelnym jest stosunek Kuncewiczowej (demokratki przecież) do żydostwa. Wyrasta on jak ornament na podkładzie trudnej do zdefiniowania, ale niewątpliwej w odczuciu mistyki i religijności głębokiej i szczerej. To mistyka sprawia może, że Kuncewiczowa upraszcza (upraszcza przez komplikację właśnie) Żydów, że tworzy z nich „typy" obce i trudne do zrozumienia dla psychiki chrześcijanina czy Polaka, że podkreśla ciągle i nieustannie obcość i dziwaczność Żydów, uznając zresztą lojalnie nie tylko prawo, ale i potrzebę tej odrębności, suwerenności niejako żydowskiej. („Wieczór na Dynasach" i wywiad drukowany latem b. r. w „Naszym Przeglądzie").

Żydzi są dla niej wielką bezkształtną masą, w której nie odróżnia twarzy, bo twarz żydostwa mimo odcieni i różnic jest przecież jednakowa, niepoznawalna, mistyczna. Ale i tu stosunek Kuncewiczowej jest uczciwy i szczery. Nie tylko dlatego, że miała odwagę przeciwstawić się dzisiejszej hecy antysemickiej, ale dlatego przede wszystkim, że starając się poznać świat, nie tylko go widzieć, ale i wiedzieć o nim, umiała zobaczyć Żydów, Żydów — ludzi. Na razie tylko zobaczyć. Na razie jest to ciągle jeszcze tylko widzenie, a nie wiedzenie o Żydach. Ale żeby wiedzieć coś o czymś, trzeba to przed tym widzieć. A to jest przecież teza (i słuszna) Kuncewiczowej, że ludzie żyją obok siebie, że trudno im porozumieć i zrozumieć się wzajemnie. I że często jest to zupełnie niemożliwe.

„Byt ludzki jest tragiczny — żadnym zaklepywaniem, żadnymi plastrami tej tragedii nie zagoisz". I tragiczne pytanie: „Czy ból nie jest największą paską życia?" Tu właśnie są źródła mistycznego widzenia świata przez Kuncewiczową.

Można temu widzeniu zaprzeczyć. Ale należy je uszanować.

Melania Waserman

Pod skrzydłami czarnego orła

Hołdujące pięknym tradycjom liberalizmu wydawnictwo Albert de Lange w Amsterdamie postawiło sobie za zadanie opiekę nad odpryskami ducha wolności, nad słowem prawdziwie swobodnym, nad tragiczną w swej bezpańskości twórczością emigracji. Twórczość ta, mimowoli zahamowana w wypowiedziach aktualności, powściągliwa w stosunku do dnia dzisiejszego, cofa się ku przeszłości, do wspomnień z lat dziecinnych czy młodzieńczych. I dopiero po przełamaniu się w doznaniach lat dojrzałych krystalizuje się ocena czasu minionego, właściwy sąd o przeszłości.

W obydwóch ostatnio wydanych powieściach (Karl Tschuppik: *„Ein Sohn aus Gutem Hause"* i H. W. Katz: *„Die Fischmanns")* zmartwychwstaje czarny dwugłowy orzeł, ongi osłaniający rozpiętymi skrzydłami monarchię austriacką. Tylko w ujęciu tematu przez obydwóch autorów zarysowuje się wyraźna różnica: Tschuppik pisze jak „gemütlicher Wiener", który dobrze zna i pamięta czasy Wiednia, wspomina je nawet z leciutkim sentymentem, do którego może nie bardzo chciałby się przyznać, lubuje się potrosze w szychu galowych przedstawień, huzarskich mundurów z szamerowaniami, nawet w atmosferze czołobitności i uwielbienia dla cesarza Franciszka Józefa. Katz zaś nie ma tych wspomnień tak świeżo w pamięci, musi cofnąć się do lat wczesnego dzieciństwa, nie ma w nim sentymentu do Austrii, ściślej mówiąc do Galicji, do małego miasteczka Strody, jest za to gorycz, jest jak gdyby skondensowany smak emigracji.

Karol Tschuppik, znany biograf życia austryjackiego (rozmachem, barwnością i zarazem brakiem głębi przypomina Ludwiga) w powieści swej prowadzi czytelnika przez duży szmat Austrii, począwszy od początku ubiegłego stulecia aż do wybuchu wojny światowej. Austria wydaje mu się wyspą romantyzmu, zawieszoną między przeszłością a przyszłością. Klimat jej jest mu bliski, wydaje się, że i miły. Bohaterem książki jest młody chłopiec, „syn z dobrej rodziny", wychowany już to w domu ojca, barona, wysokiego urzędnika, już to w w domu wuja, przedstawiciela arystokracji austryjackiej. Na dzieciństwo jego pada cień, gdyż w tajemniczy sposób opuszcza go matka, o matce przestaje się mówić w tym domu, dokoła jej postaci urasta legenda, podsycana przez wyobraźnię dziecka. Nawiasem mówiąc, autor do ostatka nie wyjaśnia całkowicie historii życia pani baronowej, w zręcznych niedomówieniach dając do zrozumienia, że imię pięknej pani zostało związane z imieniem kogoś wysoko postawionego, kogoś z dworu czy blisko dworu, że rozegrała się jakaś tragedia, jakieś samobójstwo, czyjaś krew zbryzgała dobrą sławę matki małego Maksa. Słowem, jakiś Mayerling en miniature.

Maks tymczasem kroczy swoją drogą, nie tyle tą, jaką samby sobie obrał, ile tą, którą wyznaczył mu ojciec, koleina, którą wyżłobiła przed nim kariera innych synów wysokich austriackich urzędników. Wraz z nim poznaje czytelnik dokładnie i bardzo żywo opisane życie garnizonu w małym miasteczku niedaleko Pragi, wraz z nim przeżywa nieodłączny od garnizonu romans z damą pułkową, żoną rotmistrza, która inicjuje młodziutkiego kadeta w tajniki miłości. Ta partia książki pisana jest najbardziej interesująco, z dużym wyczuciem psychologicznym wieku dojrzewania; romans urywa się bez rozwiązania, z chwilą ogłoszenia wojny.

Poza dobitnym i wysoce prawdziwym oddaniem rzeczywistości obyczajowej Tschuppik zręcznie przemyca tu i ówdzie pewne ciekawostki ze świata politycznego. Dla czytelnika, oznajmionego z historią Austrii przedwojennej, ta książka będzie niejako „roman à clé". Smutnej pamięci afera pułkownika Redla wpleciona jest w akcję bez żadnych osłonek. Prawdziwe dokumenty tkwią niby rodzynki w pulchnym cieście powieściowym.

Powieść Katza ma także charakter dokumentarny, ale jakże inny! Ta historia żydowskiej rodziny, widziana oczyma siedmioletniego chłopczyka, opowiedziana ustami dojrzałego, zaprawionego w cierpieniu człowieka, jest dokumentem niezapomnianym. Jest to właściwie historia nie jednej rodziny — lecz historia całego narodu, jest to jakby smutna pieśń, wygrana na nigdy nie starzejącej się harfie Dawidowej. Katz łączy w sobie typowy, specyficzny liryzm żydowski z sobie właściwą naiwnością dziecka; dlatego też powieść jego, pisana z mistrzowskim realizmem, z dbałością o szczegóły, budzi oddźwięk uczuciowy, jaki zwykły budzić dzieła prawdziwej poezji. Powietrze tej książki przypomina czystością swoją „Sól ziemi" Witlina.

ANTENA ŚWIATA

Nieznany koncert Schumana

W operze berlińskiej odbył się koncert na którym odegrany został po raz pierwszy nieznany dotychczas koncert Schumana, jeden z ostatnich utworów kompozytora, napisany w okresie jego szaleństwa.

Jak wiadomo, koncert ten poświęcił Schuman znakomitemu skrzypkowi Joachimowi, lecz ten nie chciał grać. Wstrząśnięty odmową, Schuman manuskrypt schował. Odnaleziono go w parę miesięcy po śmierci kompozytora. Na rękopisie znajduje się przypisek, zawierający ostatnią wolę kompozytora. Schuman życzył sobie, aby koncert wykonano wtedy gdy upłynie sto lat od śmierci Joachima.

Rękopis oddano do pruskiej biblioteki narodowej lecz tam gdzieś zaginął. Przy-

PROSZKI OD BÓLU GŁOWY
DLA DOROSŁYCH
ZE ZNAKIEM FABR.
PSZCZÓŁKA
Stosuje się również przy PRZEZIĘBIENIU GRYPIE i KATARZE

padkowo udało się Jehudzie Menuchinowi odnaleźć go. Aby odwdzięczyć mu się za to, spadkobiercy Joachima w porozumieniu ze spadkobiercami Schumana zezwolili mu odegrać koncert po raz pierwszy, aczkolwiek termin ustanowiony przez Schumana jeszcze nie upłynął. 100 lat od chwili zgonu Joachima upłynie dopiero w 1956 roku.

Jehuda Menuchin przystąpił rok temu do opracowania koncertu. Występ jego miał odbyć się w Saint - Louis, lecz wmieszał się do tej sprawy rząd niemiecki. Berlin zażądał, aby Menuchin odstąpił od swego zamiaru, albowiem utwór niemieckiego kompozytora winien być wykonany przede wszystkim w Niemczech i to przez skrzypka aryjczyka.

Menuchin musiał uledz. Formalne prawo rozporządzania rękopisem należy do rządu niemieckiego i skrzypkowi ofiarowano czek na znaczną sumę pieniędzy.

Do odegrania po raz pierwszy utworu Schumana w 81 lat po śmierci kompozytora wybrano berlińskiego skrzypka Georga Kulenkampfa, który zmuszony był wykreślić pewne miejsca parytury jako niewykonalne.

Portrecista królów

Filip Laslo o zgonie którego pisały wszystkie gazety był prawdziwym portrecistą królów. Przed wojną światową przesiedział pięć tygodni w Poczdamie, gdzie malował portrety Wilhelma II, cesarzowej następcy tronu i jego żony.

Król Edward VII, królowa Aleksandra, liczni członkowie angielskiej rodziny królewskiej, cesarz Franciszek Józef, król grecki Konstanty, król bułgarski Ferdynand — wszyscy oni pozowali Laslo.

Po wojnie galeria jego portretów osób koronowanych wzbogaciła się jeszcze portretami eks - króla portugalskiego, księcia i księżny Jorku, obecnymi królem Jerzym VI i królową Elżbietą, zmarłej tragicznie królowej belgijskiej Astrid, króla szwedzkiego Gustawa, królowej rumuńskiej Marii, króla Karola i innych.

Niezależnie od osób ukoronowanych malował również Laslo portrety wielkich mężów stanu, jak prezydent Hoover, Primo de Rivera i t. p.

John Calvin, esquire

Jak wiadomo Calvin zmarł w końcu XVI wieku. Fakt ten jednakowoż pozostał nieznany dla Akademii w Filadelfii. Filadelfijskie wydawnictwo „Westminster Press", które przed niedawnym czasem opublikowało nowe wydanie sławnego dzieła Calvina „Zasady religii chrześcijańskiej", otrzymało od Akademii w Filidelfii następujący list, przeznaczony dla Johna Calvina, esquire:

„Wielce szanowny kolego! Na ostatnim posiedzeniu zarządu naszej akademii postanowiono zaliczyć Pana do grona dożywotnich członków towarzystwa, jako pisarza, który w sposób wielce wartościowy wzbogacił współczesną literaturę religijną.

W najbliższej przyszłości bez jakiejkolwiek dopłaty ze strony Pana, otrzyma Pan dyplom stwierdzający zaliczenie Pana w poczet dożywotnich honorowych członków towarzystwa. Zarząd Towarzystwa korzysta z niniejszej okazji, aby życzyć Panu dalszego powodzenia w Pańskiej działalności".

Pijane... psy

Niecodzienny wypadek miał miejsce w małej chińskiej mieścinie Holsterbro. Ulicą przejeżdżał ciężarowy samochód, rozwożący w butelkach mleko, wódkę i piwo. Padał deszcze, na jezdni było ślisko. Samochód najechał na latarnię, butelki wysypały się na jezdnię i potłukły się. Mieszanina wódki, piwa i mleka popłynęła po ulicy Zapach tego oryginalnego coctailu przyciągnął wszystkie prawie psy z całego miasta, które z wielką żarłocznością zaczęły zlizywać napój. W ciągu krótkiego czasu wszystkie psy były pijane. Kładły się one na ulicy i żadną siłą nie można ich było ruszyć z miejsca. Trzeba było wezwać straż ogniową, która dość długo pracowała zanim zdołała posprzątać z ulic pijane psy. Psy przewieziono do pustej stodoły, gdzie przespały noc a po wytrzeźwieniu oddano je właścicielom.

Prawo do sławy pośmiertnej

Obecnie obraduje w Paryżu komisja międzyparlamentarna, która ma do spełnienia wielce delikatną misję: ma ona ustalić jacy, mianowicie francuscy wodzowie i generałowie XIX i XX w. mają prawo do pośmiertnej sławy. Praktycznie biorąc wygląda to następująco: kto z nich ma prawo, aby popiersie jego znajdowało się w jednej z nisz, specjalnie w tym celu zbudowanych w fasadzie Louvre'u, wzdłuż Sekwany.

Prawdę mówiąc wszystkie nisze są w obecnej chwili zajęte. Lecz nazwiska wodzów, których postacie się tam znajdują, za małymi wyjątkami, nic nie mówią nawet specjalistom spraw wojskowych. Należy więc zamienić ich innymi bohaterami, których sława jest świeższa w pamięci ludzkiej. Miejsce wolnych w tym swego rodzaju Panteonie jest 15. Kandydatów znacznie więcej.

Dlatego też do Komisji zaproszeni zostali eksperci, którzy mają zadanie zgłębić biografię wszystkich pretendentów do niszy i wyjaśnić, który z nich jest godny popiersia.

Wśród dowódców wielkiej wojny eksperci znaleźli siedem odpowiednich nazwisk: sześciu generałów, którzy otrzymali buławę marszałkowską za życia jak Foch, Joffre, Petain, Luaytey, Franchet d'Esperay, Fayol i jeden marszałek, któremu godność tę ofiarowano po śmierci — Gallieni. W odniesieniu do tego ostatniego eksperci jeszcze nie wydali ostatecznej decyzji, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa laureatem „konkursu do sławy pośmiertnej" będzie właśnie marsz. Gallieni. W czasie wielkiej wojny znajdował się on w opozycji do Joffre'a, za to popiersia ich będą ze sobą sąsiadowały. Sprawa pozostałych wodzów, działalność których odnosi się do dawnych wojen nie została jeszcze rozstrzygnięta.

Odnowienie louvre'skiej galerii znakomitości kosztować będzie państwo ponad 300 tys. franków.

Autobiografia ks. Windsoru

Jak podają pisma angielskie ks. Windsor ma zamiar w najbliższej przyszłości przystąpić do zbierania materiałów dla swojej autobiografii. Literackie opracowanie tej biografii powierzone zostanie znakomitemu powieściopisarzowi angielskiemu Comptonowi Makenzie, który w 1932 roku stawał przed sądem, jako oskarżony o ujawnianie tajemnic państwowych w swej książce „Memuary greckie".

Makenzie będzie miał dostęp do osobistego archiwum ks. Windsoru i do jego prywatnej korespondencji.

Wykopaliska kanadyjskie

W jednej z arktycznych wiosek na wybrzeżu Kanady znaleziono przedmioty pochodzące z XIII wieku, które dostały się tam według wszelkiego prawdopodobieństwa z Europy. Wśród przedmiotów tych znajduje się figura szachowa, dzwon kościelny i kawał tkaniny.

Wszystkie te przedmioty zostały znalezione przez uczonego duńskiego, który już wiele lat temu odnalazł w Ameryce ślady bytności wikingów.

Odkrycia te ustalają, prawie że bez najmniejszej wątpliwości, fakt przebywania wikingów na kontynencie amerykańskim na długo jeszcze przed przybyciem Kolumba z jego hiszpańskimi marynarzami.

L—y

KINO

ŚWIATOWID. — „OSTATNI POCIĄG Z OBLĘŻONEGO MIASTA".

Film ten rozgrywa się na tle największego dramatu politycznego i ludzkiego naszych dni — na tle bohaterskiej obrony republikańskiego Madrytu przed wojskami zbuntowanego generała Franco. W prawdzie spolszczona nazwa filmu stara się, nie wiedzieć czemu, zamaskować czy zgoła ukryć ten wspaniały atut aktualności (nazwa oryginału brzmi mniej „anonimowo": „Last frain from Madrid") — ale aktualność przedziera się zwycięsko po przez sztuczne bariery i woła do widza hiszpańskimi napisami, mundurami hiszpańskich żołnierzy i tak dobrze już ogółowi znanymi, okropnościami hiszpańskiej wojny domowej.

Trudno nam zorientować się, jakie były istotne zamierzenia reżysera, ale przy oglądaniu filmu w tej postaci, w jakiej go się u nas wyświetla, rzuca się w oczy konsekwentne wyeliminowanie wszelkiej tendencyjności w stosunku do poszczególnych stron walczących. Musimy przyznać, stosując, oczywiście, wyłącznie filmowe kryteria, że film na tym dużo zyskuje.

Sama budowa filmu, aczkolwiek w założeniu trudna, udała się dobrze. Na tle masowej ucieczki z atakowanego Madrytu, rozgrywa się równolegle kilka odrębnych akcji, z których każda może poszczycic się posiadaniem własnej pointy. Pod tym względem film przypomina „Ludzi z hotelu" według powieści Vicki Baum.

Role główne odegrali: Dorothy Lamour, Gilbert Roland i Lew Ayres.

STYLOWY. — „DZIEWCZĘTA Z NOWOLIPEK".

Bardzo trudno jest oddzielić w tym filmie to, co jest samym filmem, od uroku książki Gojawiczyńskiej, tej mądrej, subtelnej książki o dziewczętach, których tragedią było, że we własnej sferze było im za głupio, za pusto, za ordynarnie, a tam, dokąd wkroczyć chciały — za mądrze, za chytrze, za fałszywie. Tę wnikliwą, pełną niedomówień książkę — trudno bardzo przenieść na film. Nie ma w niej przecież żadnej ciągłej akcji, nie ma specjalnie filmowych efektów. A jednak reżyserowi Lejtesowi udało się — jeżeli nawet nie wyciągnąć wszystko z tej książki — to w każdym razie oddać jej nastrój. A to było najważniejsze. Film oddycha tą atmosferą, jaką czujemy w książce — postacie przemawiają do nas tak — jak je słyszeliśmy, czytając powieść! Dlatego można wybaczyć reżyserowi pewne skróty — nie zawsze z punktu widzenia filmowego nieodzowne, dlatego można nie widzieć pewnych naiwnostek, tak typowych dla filmu polskiego. Lejtes dał jednak w tym filmie coś, co rzadko dają reżyserzy nasi — nie zwulgaryzował — pozostawił w nim pewien polot, pewną głębię. Pod względem technicznym film stoi na poziomie wysokim, posiada wiele momentów, wyreżyserowanych z dużą kulturą i znawstwem, w zdjęciach, często doskonałych czuje się wprawne „oko" operatora inż. Seweryna Steinwurcla. Do wysokiego poziomu tego filmu w kolosulnej mierze przyczynia się gra aktorów. Trzebaby wyliczyć cały „afisz" naszych asów teatru i filmu, aby oddać wszystkim istotne słowa zasługi. Wystarczy wyliczyć takie nazwiska, jak Stanisława Wysocka, Ćwiklińska, Stępowski, Grabowski i t. d. Czwórka „dziewcząt z Nowolipek" była doskonałą. Barszczewska nareszcie pokazała, że jest aktorką dużej miary — wyzbywszy się pewnej ckliwej maniery — była szczera, subtelna i wzruszająca. Andrzejewska, jak zwykle, trafiła do serca pełnią prostoty i tragizmu. Dobre sylwetki dały Jaraczówna i Wiszniewska.

T. S.

Z KARTY ŻAŁOBNEJ

Bł. p. MEIR SADOWSKI

W niedzielę, 5 grudnia b. r. zmarł w Warszawie jeden z weteranów syjonizmu polskiego bł. p. Meir Sadowski. Zmarły należał do starej gwardii syjonistów warszawskich, do tych, którzy pierwsi odezwali się na zawołanie Herzla. I do ostatniej chwili Swego życia pozostał wierny Swym ideałom młodzieńczym. Nie ma prawie ani jednego odcinka rozgałęzionej pracy syjonistycznej w Warszawie, gdzie bł. p. Meir Sadowski nie był czynny: Komitet Miejski Organizacji Syjonistycznej, gdzie piastował urząd vice-prezesa, Keren-Hajesod i Keren Kajemet Leisrael — straciły w Nim oddanego i niestrudzonego działacza.

Ale nie tylko pracy syjonistycznej poświęcał się Zmarły. Brał również czynny udział w różnych instytucjach społeczno-filantropijnych.

Nic więc dziwnego, że w kondukcie żałobnym szli obok przedstawicieli ruchu syjonistycznego także reprezentanci prawie wszystkich towarzystw filantropijnych — a przede wszystkim niezliczone tłumy Żydów warszawskich, wśród których Zmarły cieszył się wielką sympatią i popularnością.

Umarł człowiek szlachetny, jeden z ostatnich reprezentantów Starej Warszawy.

TYGODNIK BEZPARTYJNY, poświęcony polityce, literaturze i sztuce

„DI POST"

pod redakcją **Mojżesza Blechera**

jest jedynym czasopismem w Krakowie i Zachodniej Małopolsce w języku ŻYDOWSKIM.

Cena 15 gr.

Adres Redakcji i Administracji: Kraków, Bonerowska 6. Konto P.K.O. 411.858

Chwilka na dworcu

(dokończenie ze str. 1)

GDY POCIĄG ODJEŻDŻA.

Nie wyprzedzajmy jednakowoż faktów i wróćmy na dworzec w Berlinie. Otóż ku swemu zdziwieniu zastał minister Delbos na Oberschlesisches Bahnhof Freiherra von Neuratha o wczesnej porze. Cóż spędziło sen z powiek ministra Trzeciej Rzeszy? Czyżby troska o losy podróży Delbosa, przedstawiciela Francji? Czyżby chęć dowiedzenia się czegoś o stanie zdrowia szanownego kolegi i o tym, jak smakowała mu kolacja w wagonie restauracyjnym? A może ciekawość dowiedzenia się o wrażeniach z nocnego krajobrazu w Niemczech?

Freiherr von Neurath przybył na dworzec i rozmawiał z ministrem Delbosem przeszło dwadzieścia minut. Jak zapewniają świadkowie zdala, rozmowa była prowadzona w tonie bardzo serdecznym i przyjaznym. Zapewne mgliste światło poranka, promienie padające przez oszklony dach Oberschlesisches Bahnhof nie sprzyjały słonecznym uśmiechom.

Wizyta dworcowa spowodowała oczywiście zalew nowych plotek. Że to niby minister Delbos jedzie do Warszawy, jak do Canossy, by spowiadać się ze swych niezwykle przyjaznych zamiarów w stosunku do Berlina, by drogą tą szukać zbliżenia z niemieckimi mężami stanu. Swoją drogą plotki stwarzają często paradoksy... geograficzne. Dotąd nie wiedzieliśmy, że najbliższa droga z Paryża do Berlina prowadzi przez... Warszawę. Nie wiedzieliśmy również o tym, że nasza stolica ma tak wiele do powiedzenia nad Sprewą. Mogliśmy tym bardziej o tym nie wiedzieć, iż pomimo wielokrotnych zapewnień, stosunki gdańskie nie układają się tak, jak życzyłaby sobie większość obywateli Państwa Polskiego...

A wystarczyłoby przecież...

Minister Delbos rozmawiał więc z ministrem Neurathem tylko kwadrans. W ciągu tego kwadransu miano rozbić sojusz Francji z Czechosłowacją i Sowietami, miano uzgodnić Anschluss Austrii, miano dokonać nowego przekształcenia mapy Europy... I to wszystko trwało tylko kwadrans + pięć minut, i to wszystko miało się dziać na dworcu w Berlinie...

O, orle skrzydła fantazji dziennikarskiej. Gdyby tak łatwo można było naprawdę rozstrzygnąć spory zawiłe, narastające konflikty, sprzeczności pogłębiające się... Gdyby tak łatwo było przerzucić mosty nad przepaścią między światem demokracji i wolności a światem napastników totalnych.

Iluzje trwać będą zapewne tak krótko, jak krótko trwał postój na dworcu w Berlinie. Tylko kwadrans + pięć minut. A po tym znikną, tak jak zniknął z dworca berlińskiego pociąg, wiozący ministra spraw zagranicznych republiki francuskiej poprzez kraj totalnych władców...

OUTSIDER.

Młyn Automatyczny
„UNIWERSAL"
w Łucku

PRODUKUJE NAJLEPSZE GATUNKI MĄKI PSZENNEJ

Telefony:
młyn Nr. 189, mieszk. Nr. 169.

Z wielkim bólem zawiadamiamy, że 5 grudnia b. r. zmarł w Warszawie niestrudzony działacz syjonistyczny

bł. p. MEIR SADOWSKI

oddany działacz Keren-Hajesod i Keren Kajemeth Leisrael, który całe życie poświęcił idei odrodzenia Narodu Żydowskiego.

Cześć Jego pamięci!

Dyrektorium, Egzekutywa i Biuro Centralne Keren-Hajesod w Polsce.
Centrala Keren Kajemeth Leisrael w Polsce.
Komitet Warszawski Keren-Hajesod
Biuro Warszawskie Keren Kajemeth Leisrael.

Prenumerata: miesięczna 1 zł. 20 gr., kwartalna 3 zł. 50 gr., za granicą kwartalna 5 zł.
Ceny ogłoszeń: za m/m za tekstem 80 gr., w tekście 1 zł. Strona zawiera 5 szpalt. Na stronę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.

Redaktor: Dr. M. KLEINBAUM — Wydawca: TOW. WYD. „STER" sp. z o. o. — Red.-odp.: A. KLARMAN.

„Drukarnia Lekarska", Sp. z o. o., Warszawa, Leszno 56, tel. 11.98-73.